MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIII. Nr. 51. WARSZAWA, 3 GRUDNIA 1933 R. CENA NUMERU 80 GR.



WŁASNA IDEOLOGJA GOSPODARCZA

Z ISTOTY kierunku narodowego wynika odrębność i swoistość jego ideologji gospodarczej. Kierunki narodowe w różnych krajach mają niewątpliwie podobny stosunek do gospodarstwa. Z wysunięcia na czoło pojęcia narodu wynikają dla tegoż pewne konsekwencje, wspólny sposób ujmowania zjawisk gospodarczych. Ale tylko do pewnych, dość ciasnych granic.

Nie można mówić o nacjonalizmie gospodarczym tak, jak się mówi o liberalizmie ekonomicznym, względnie o socjalizmie. Te dwa ostatnie kierunki są w założeniu swojem powszechne. Obejmują całe gospodarstwo światowe, opasują swemi ideami cały świat, na niedomagania gospodarcze znajdują jedne, powszechne lekarstwa. Oczywiście, że i na liberalizmie poszczególnych krajów odbijają się specyficzne warunki narodowe. Socjalizm podległ rozmaitym przeobrażeniom, zależnie od gruntu, na którem się przyjął. Ale w założeniu swojem jest jeden liberalizm, jeden socjalizm, dopiero w praktyce, pod naporem życiowym powstają różne liberalizmy i socjalizmy. Natomiast niema i być nie może jednego nacjonalizmu gospodarczego. Istnieje, jeżeli już mamy używać tego wyrazu, niemiecki, włoski, polski, francuski nacjonalizm, a obok tego istnieje socjalizm w Niemczech, Francji, Polsce i t. d.

Kierunki uniwersalne chcą cały świat urządzić według pewnego planu. U podstaw kierunku narodowego tkwi również określony pogląd na świat i gospodarstwo światowe. Ale ten kierunek bierze za punkt wyjścia swoje własne gospodarstwo, sprzeczność i współzawodnictwo różnych gospodarstw narodowych przyjmuje za fakt elementarny. Niektóre kierunki narodowe dążyły do panowania nad światem, albo nad wielkiemi jego połaciami. Wówczas nacjonalizm przeobraża się na imperjalizm gospodarczy, u większości jednak narodów nie zjawiają się te dążenia. Kierunki uniwersalne w różnych krajach są zasadniczo solidarne, narodowe nie muszą z sobą prowadzić wojny, ale swoją odrębność biorą za punkt wyjścia, pracują przedewszystkiem nad wzmocnieniem narodowej wspólności, a nie nad tem, by własny naród, w szczególności jego gospodarstwo, powiązać jak najściślejszemi węzłami z resztą świata.

W XIX wieku nadawał duchowy ton całej epoce z jednej strony liberalizm, z drugiej socjalizm. Idea narodowa rozwijała się zwolna pod skrzydłami liberalizmu, była poprostu wyrazem prawa jednostek, należących do jednego narodu, do posiadania własnego państwa. Obecnie zwyciężają coraz mocniej kierunki narodowe. Ale i one wykazują ekspansję zewnętrzną. Gdzie ten ruch jest szczególnie silny, oddziaływa swemi ideami, a nawet i zewnętrznemi formami, na narody, które nie przyzwyczaiły się do tego, by czerpać swoje idee z własnych źródeł. Faszyzm włoski, wedle słów jego twórcy, nie miał być pierwotnie artykułem eksportowym. Ale stopniowo w tym ruchu wzięła górę wola ekspansji, wiara w uniwersalne znaczenie faszyzmu. Włosi chcą swym faszyzmem nadać piętno całej epoce, podobnie jak na XIX wieku wycisnęły swój charakter idee rewolucji francuskiej. Podobne ambicje ma i hitleryzm.

Dążenia te są łatwo zrozumałe. Wyraża się w nich imperjalizm narodów włoskiego i niemieckiego, imperalizm ich idei. Według przekonania tych narodów, inne są niższe, słabsze lub duchowo zdegenerowane. Jeżeli chcą się ratować, muszą oglądać się na nowe stolice świata: na Rzym, względnie na Berlin. Na tej drodze przodujący naród osiąga nietylko bezpośrednie korzyści polityczne, licząc na to, że naród, bliższy mu ideowo, łatwiej uwzględni jego dążenia, lecz również zaspokaja swoje ambicje, swoją żądzę wyższości. Uniwersalnym potrafi być nietylko liberalizm lub socjalizm, lecz także i nacjonalizm narodu, który chce panować nad światem.

Symbolem tych dążeń w dziedzinie politycznej jest tak zw. Pakt Czterech, którego właściwym twórcą jest Mussolini. Porozumienie czterech mo-

carstw ma czuwać nad Europą, ma zabezpieczyć pokój — inne państwa powinny poddać się temu zwierzchnictwu. Chce się utrwalić nową hierarchję, podział na wielkich i małych, silnych i słabych. Nacjonalizm narodu, który pragnie odgrywać rolę przewodniczą, potrafi bardzo lekceważąco traktować inne narody, o ile nie poddają się jego woli.

Otóż naród polski nie może się z tem pogodzić. Polska nie ma manji wielkości. Nie przejęta jest jakimś mesjanizmem, któryby jej świat kazał zbawiać, ani nie uważa się za naród wybrany. Ale chce być sobą. Chce zachować swoją pełną niezależność w dziedzinie duchowej i materjalnej. Nie uważa swoich wartości narodowych za niższe od wartości innych narodów. Nie może się stać wasalem najpiękniejszego choćby i najpotężniejszego, obcego nacjonalizmu. A uchroni się od tego wtedy, gdy będzie miała własne idee narodowe i wypełni je swoją, pozytywną treścią, a nie poprzestanie na naśladownictwie cudzych nacjonalizmów.

Zasadniczo raduje nas zwycięstwo kierunków narodowych w różnych krajach, gdyż i nam dobrze wróży. Jednakże ta radość nie jest wolna od obaw. Jeżeli u naszych wrogów zwycięża kierunek narodowy, który potęguje siły wrogiego nam narodu, to trzeba się liczyć z konsekwencjami tego faktu, z niebezpieczeństwami, które rosną. Wymaga to wielkiego wysiłku, by z własnego narodu wydobyć jaknajwięcej sił twórczych, w szczególności tego, by nasz „nacjonalizm" był jaknajbardziej polskim, w pełnem i głębokiem znaczeniu tego wyrazu.

Nasza przeszłość jest pod tym względem bogata w naukę. Polska, ściśle związana z cywilizacją zachodnią, była krajem młodszym cywilizacyjnie. Jej związek z Zachodem nie zawsze był równie silny i żywy. Przeżywaliśmy okresy gorączkowego, gwałtownego nawet wchłaniania nowinek, by potem zrywać te związki i grzęznąć w odosobnieniu. Od końca XVI wieku aż do połowy XVIII wieku stopniowo popadaliśmy w „sarmatyzm". Polska odsuwała się od Zachodu, pod względem umysłowym i gospodarczym. W Polsce nie było merkantylizmu. Polska odwróciła się od morza, kolonjalnych zdobyczy, nie stworzyła własnego przemysłu, nie rozwijała u siebie umiejętności technicznych. Utonęła w spokojnem życiu wiejskiem: „może nie wiedzieć Polak, co to morze, gdy pilnie orze".

Ale przyszła „reforma", gorączkowa praca nad tem, by dorównać Zachodowi, by wchłonąć nowe ideje i jaknajszybciej je sobie przyswoić. Przyszła cudzoziemszczyzna.

Że sarmatyzm był szkodliwy, o tem dobrze wiadomo. Ale również i nie przetrawione ideje zachodnie, działające urokiem nowości i postępu, przyniosły swoje szkody. Bo wtedy, gdy Polsce trzeba było jeszcze polityki, popierającej rozwój przemysłu przy pomocy państwa, protekcjonizmu celnego, wówczas przyszedł do Polski liberalizm w postaci fizjokratyzmu, kierunek wolno-handlowy, przeciwny interwencji państwa w życie gospodarcze. We Francji fizjokratyzm był naturalną reakcją przeciw nadmiernemu popieraniu przemysłu, zbyt wielkiemu rozrostowi gospodarki państwowej; w Polsce przemysłu nie było, a zakres państwowej gospodarki był najmniejszy w Europie. Fizjokratyzm był nonsensem w Polsce, mimo to zaciężył nad naszą polityką ekonomiczną i finansową; z pod jego tyranji potrafiły się wyłamać tylko najwybitniejsze umysły, jak np. Stanisław Staszic. A można wykazać, jak doktryna, nieodpowiadająca naszym potrzebom i warunkom, skrępowała reformy podatkowe w dobie Sejmu Czteroletniego i obniżyła ich wynik.

Strzeżmy się zarówno sarmatyzmu, jak i cudzoziemszczyzny, choćby dzisiaj ta cudzoziemszczyzna przychodziła do nas w najponętniejszej postaci. Nie lekceważmy własnych wartości, a przedewszystkiem nie idźmy po linji najmniejszego oporu. Niewątpliwie najłatwiej jest przejąć cudzą doktrynę. Zwalnia to od wysiłku, od ciężkiej duchowej pracy, pociąga urokiem nowości, autorytetem wielkich wodzów nacjonalizmu w innych krajach. Rzecz jasna, że musimy pilnie śledzić to, co się dzieje w świecie i dotrzymywać tempa wielkim przeobrażeniom dziejowym. Ale powierzchowna asymilacja cudzych idej nie obudzi w narodzie polskim sił twórczych. Nacjonalizm naśladowniczy nie harmonizuje ani z naszemi potrzebami, ani z naszą godnością. Bo czy potrzebujemy szukać dopiero gdzieindziej podstaw ideowych kierunku narodowego? Bez przesady możemy powiedzieć, że kierunek narodowy w Polsce wyprzedził wiele innych krajów i gdyby język polski był bardziej w świecie rozpowszechniony, wpływ naszego kierunku narodowego na inne narody byłby się wyraźniej zaznaczył.

ROMAN RYBARSKI

NAUKA O WŁADZY I PODWŁADNYCH

LATEM tego roku ukazały się w handlu księgarskim drukowane jako rękopis projekty programów nauki w publicznych szkołach powszechnych trzeciego stopnia oraz w czteroletnich gimnazjach. W myśl okólnika ministra W. R. i O. P. z dnia 14 lipca r. b. projekty te zostały od dnia 20 sierpnia wprowadzone jako programy w oddziałach I, II i V szkół powszechnych, jak również w klasie I gimnazjum.

Niema jeszcze programów dla najliczniejszych w Polsce szkół powszechnych pierwszego i drugiego stopnia oraz dla dwuletnich liceów, stanowiących uzupełnienie gimnazjum. Dlatego niewiadomo, jak się będzie przedstawiać całość programów polskiego szkolnictwa ogólnokształcącego. Trudno dziś sądzić, o ile poszczególne jej części zostaną dopasowane do swych przeznaczeń i zadań.

Naogół można powiedzieć, że przy układaniu nowych programów skorzystano z doświadczeń, jakie zdobyło szkolnictwo polskie w ciągu ostatnich lat kilkunastu. Ci, którzy przedtem chcieli po doktrynersku ze szkoły powszechnej robić akademję wszelakich umiejętności, jak widać, pozbyli się wielu złudzeń, pożegnali wiele marzeń i haseł, zbliżyli się bardzo do realnych warunków życia i jego potrzeb. Dowodem tego są znaczne redukcje materjału nauczania oraz wprowadzenie szeregu uproszczeń. Można mieć nieraz mocne wątpliwości, czy ministerstwo nie poszło w tym kierunku za daleko. Ale w każdym razie usunięcie w myśl głośnej opinji nadmiernego zakresu wymagań, stawianych szkole pod względem naukowym, jest dodatnią stroną projektów programowych naszych władz szkolnych.

Są jednak te programy obarczone grzechem pierworodnym. Przepojono je mocno przestarzałemi i bardzo niechętnie widzianemi w społeczeństwie polskiem tendencjami politycznemi. Odżyły znów dawne tradycje oraz ideały wychowania „wiernych poddanych“, ujęte w odświeżoną formę nauki o „władzy i podwładnych“. Znamy ją dobrze. Jej różne, bliźniacze odmiany stosowano już nieraz. Potęgi i chwały nikomu nie przysporzyły, nie zdołały nigdy zapobiec rujnującym kraje walkom wewnętrznym, groźnym wybuchom niezadowolenia i anarchji, wiodły niekiedy do bezmyślnej bierności i apatji wobec najbardziej niepokojących wypadków, jakich Opatrzność nie szczędzi narodom.

Elementy tej nauki o „władzy i podwładnych“, znanej pod nazwą „wychowania państwowego“, rozsiane zostały po wszystkich projektach programów nauki. Najwyraźniej i najobficiej występują w programach języka polskiego i historji. Kwintesencję doktryny, ujętą krótko, znajdujemy dla szkoły powszechnej w punkcie pierwszym działu pierwszego programu historji dla klasy VII (str. 8):

„Potrzeba silnej organizacji państwowej, na przykładach z dziejów Polski. Konieczność podziału czynności, władza i podwładni, karność i przymus“.

Dalsze punkty są rozwinięciem tych zasadniczych pojęć swoistej nauki o państwie.

W punkcie drugim wskazano trzy zagadnienia jako „tematy pogadanek i rozmów z uczniami oraz wyjaśnień i informacyj nauczyciela“: 1) równość obywatelska w Polsce współczesnej, a podział stanowy w dawnej Polsce, 2) grupy społeczne w Polsce dzisiejszej, ich wzajemna zależność, konieczność współdziałania i poszanowania każdej pracy, 3) „tolerancja narodowościowa i wyznaniowa w Polsce współczesnej“.

W punkcie trzecim czytamy:

„Prezydent Rzeczypospolitej głową państwa. Władza i prace Rządu. Rola Sejmu i Senatu w dawnej i dzisiejszej Polsce. Podział administracyjny państwa. Główne zadania samorządu, gmina miejska i wiejska“.

Te trzy punkty wyczerpują dział pierwszy p. t. „Współżycie ludzi w państwie — ustrój Państwa Polskiego“. Dział drugi wymienia „Obowiązki obywateli polskich wobec Polski“, a mianowicie: „Obowiązek wierności, obowiązek ofiary krwi i mienia, posłuszeństwa, obowiązki publiczne“. Jest tu mowa o służbie wojskowej, wojsku, przysposobieniu wojskowem, Lidze Obrony Powietrznej Państwa, Czerwonym Krzyżu, podatkach, obowiązku posłuszeństwa wobec ustaw i rozporządzeń władz. Niezmiernie ubogą treść włożono w punkt o „obowiązkach publicznych“:

„Do jakich obowiązków (funkcyj), publicznych może być powołany obywatel i jak winien je spełniać: w samorządzie gminnym i powiatowym, w komisji wyborczej, w sądzie przysięgłych, w stowarzyszeniu spółdzielczem i t. d.“.

Trzeci i ostatni dział mówi o „prawach obywateli i opiece Państwa nad nimi“. Tu, przy wyliczaniu wolności, z jakich się cieszy współczesny obywatel polski, uznano za niezbędne wstawić punkt następujący: „Stan wyjątkowy i stan wojenny“.

W programie nauki o „współżyciu ludzi w państwie — ustroju Państwa Polskiego“ niema absolutnie mowy o ustroju politycznym Polski. Ani razu nie wymieniono tam wyrazu konstytucja. Termin rzeczpospolita użyty jest tylko jako przydawka w punkcie następującym: „Prezydent Rzeczypospolitej głową państwa“. O narodzie polskim nie wspomniano ani słowa.

A przecie obowiązująca do dziś dnia konstytucja zaczyna się od zdania następującego:

„My, Naród Polski... tę oto Ustawę Konstytucyjną na Sejmie Ustawodawczym Rzeczypospolitej Polskiej uchwalamy i stanowimy“.

Dalej artykuł 1 głosi:

„Państwo Polskie jest Rzecząpospolitą“.

W artykule 2 czytamy:

„Władza zwierzchnia w Rzeczypospolitej Polskiej należy do Narodu. Organami Narodu w zakresie ustawodawstwa są Sejm i Senat, w zakresie władzy wykonawczej — Prezydent Rzeczypospolitej łącznie z odpowiedzialnymi ministrami, w zakresie wymiaru sprawiedliwości — niezawisłe sądy“.

To wszystko przemilczano. Zignorowano najistotniejsze zagadnienia dla nauki o państwie i wychowania obywatelskiego. Wypełniono natomiast program szczegółami podrzędnej wartości lub frazesami bez treści.

Cała ta nauka o władzy i podwładnych, o karności i przymusie ma wieść do silnej organizacji państwowej.

Nie ulega wątpliwości, że bez przymusu i karności niema państwa. Ale nie z tego źródła płynie największa siła organizacji pońsłwowej. Państwa, oparte jedynie na przymusie, padały zawsze przy większych wstrząśnieniach, rozlatywały się na części, znikały szybko z powierzchni ziemi. Prawdę tę zbyt dobrze dziś wszyscy znamy, abyśmy mieli wychowywać młode pokolenia polskie w atmosferze bierności i beztroskiego zdania się na los, jaki nam zgotuje genjusz władzy. Silnej i trwałej organizacji państwowej nikt nie zdoła oprzeć o masy obcjętnej pod względem politycznym ludności, choćby miljony te były idealnie posłuszne i uległe, jak trupy. Każda władza mogłaby niemi równie skutecznie rozporządzać do czasu, aż jej nie usunie inna, która potrafi rozkołysać to morze ludzkie, poruszyć je, ożywić, wywołać entuzjazm, wolę.

Kto chce widzieć Polskę wielką i potężną, musi szukać mocnych materjałów na budowę dla niej odpowiednich fundamentów. Znajdzie je w uczuciach patrjotycznych ludności polskiej. One przez wieki całe wiodły hufce nasze do zwycięstw, dały narodowi polskiemu moc przetrwania sto kilkadziesiąt lat w obcej niewoli, pozwoliły na nowo stworzyć własną organizację państwową. Pierwszorzędną rolę ma tu do odegrania nasza szkoła powszechna. Przez nią przejść muszą wszystkie dzieci. Powinny z niej wychodzić ożywione jedną myślą i uczuciem.

To jest najpotężniejsze źródło silnej organizacji każdego państwa. Kraj nasz posiada obfite zasoby tych najcenniejszych bogactw naturalnych dusz ludzkich, ale nie wyzyskuje ich należycie. Przez długie lata pracowały nad tem świadomie rządy zaborcze, aby bujny rozrost chwastów zagłuszył szlachetne ziarna myśli i uczuć polskich. I dziś dużo różnych czynników dalej prowadzi to dzieło dawnych zaborców. Bardzo wiele energji polskiej drzemie dotąd w uśpieniu, marnuje się na rozmaite bezużyteczne lub nawet szkodliwe poczynania, niszczy się w walkach wzajemnych. Z tem trzeba skończyć, jeśli chcemy dźwignąć Polskę z tej ciężkiej niezmiernie sytuacji, w jakiej się znajduje.

Szkoła nasza winna budzić i rozwijać entuzjazm narodowy w młodzieży polskiej i nadawać

jej życiu właściwy kierunek. To są najważniejsze zadania szkoły. Jej nauka i wychowanie obywatelskie muszą zmierzać do tego, by wyrobić w uczniach właściwości następujące:

1. głębokie przywiązanie i niewzruszoną wierność dla narodu polskiego,

2. poszanowanie dla stworzonej przezeń organizacji państwowej i przyjętego porządku prawnego,

3. poczucie ciążącej na każdym Polaku odpowiedzialności za losy Polski,

4. życzliwość bezwzględną i zaufanie do współrodaków,

5. ugruntowane przekonania moralne i narodowe, silne charaktery.

Tego nie może dać nauka, prowadzona według nowych programów ministerjalnych. Zignorowano w nich całkowicie naród polski i jego rolę w Polsce. Sprowadzono wszystko do nauki o „władzy i podwładnych, karności i przymusie".

Wobec tego zlekceważenia uczuć narodowych razi okropnie ciągła troska o mniejszości narodowe. W programie historji rozsiane są obficie wskazówki tego rodzaju:

„Tolerancja narodowościowa i wyznaniowa w Polsce współczesnej". (str. 9)

„Zaznajomienie z cechami kulturalnemi regjonów innych wystąpi wyraźnie przy omawianiu zagadnień narodowościowych i wyznaniowych, dla których jednak punktem wyjścia winno być rozważenie warunków rozwoju narodowości i wyznań, reprezentowanych w szkole i w środowisku". (str. 11)

„Wiadomości o dziejach i kulturze mniejszości narodowych mają wzbudzić w młodzieży polskiej poszanowanie dla tych kultur oraz gotowość do obywatelskiego współżycia z mniejszościami w ramach życia państwowego". (str. 13)

„Przy nawiązywaniu do współczesnych kwestyj, które w danem środowisku mogą być drażliwe (np. kwestje mniejszościowe), nauczyciel winien zgóry obmyśleć sposób wyjaśnienia sprawy, zgodny z wychowawczemi założeniami programu". (str. 19)

Jaka wielka szkoda, że autorzy programów nie okazują takiej subtelności i delikatności, kiedy chodzi o kwestje mocno drażliwe dla młodzieży polskiej.

Dla charakterystyki tej nauki i wychowania „państwowego", jakie propagują projekty nowych programów, najbardziej miarodajnym jest omówiony tutaj program nauki o państwie, przewidziany dla klasy siódmej szkoły powszechnej. Temi samemi tendencjami politycznemi przepojone są również inne programy. Warto przytoczyć z nich choć kilka wymownych przykładów.

W żadnym programie nauki dla szkół powszechnych nie wymieniono ani razu traktatu wersalskiego. Wynika z tego, że młodzież, kończąca siedmioklasową szkołę powszechną, może nic o nim nie wiedzieć. Ma słyszeć o „Pokoju Toruńskim", „Ugodzie z Kozakami w Hadziaczu", pozna „obrazki z obrad kongresu wiedeńskiego", ale nie uważano za niezbędne informować uczniów o traktacie wersalskim, który zakończył największą w dziejach świata wojnę, położył fundamenty prawne pod budowę państwa polskiego, określił jego najważniejszą granicę od strony Niemiec i stanowi przedmiot zawziętych ich ataków. Traktat wersalski jest, widocznie, w przekonaniu autorów programów drobnostką, w porównaniu z tak doniosłym wypadkiem, jakim był „wymarsz kadrówki dnia 6 sierpnia 1914 r."

W programie nauki historji dla oddziału V szkoły powszechnej opuszczono z dawniejszego programu punkt o układach Kazimierza Wielkiego w sprawie Śląska, a dodano, co następuje: „Opieka króla nad Żydami".

Wśród materjału przepisowego do nauczania geografji w klasie VI szkoły powszechnej znajdujemy taki ustęp:

Półwysep Apeniński. Wulkany. Klimat śródziemnomorski. Włochy. Rzym—stolica, miasto zabytków. Medjolan".

O Watykanie zapomniano.

Przykładów podobnych zapomnień lub szczególnie dobrej pamięci można byłoby przytoczyć dużo.

Specyficzna doktryna polityczna, jaką są przesiąknięte projekty nowych programów nauki, czyni z nich rzecz dla wychowania obywatelskiego młodzieży chybioną.

K. PIOTROWSKI

PRZYSŁOWIA POLSKIE

LATA ostatnie rozszerzyły wiedzę naszą o własnej kulturze trzema tomami Aleksandra Brücknera, bogatym plonem zjazdu Kochanowskiego, wspaniałą księgą Bystronia: „Dzieje obyczajów w dawnej Polsce". Coraz bardziej rozpierzchłe niegdyś zespoły — historyczne, literackie, artystyczne — wiąże i uzasadnia pasjonująca nauka o przeszłości, historja kultury. Syntetyczna kulturalna tendencja ujawnia się na wielu polach badania i służyć może za znamię czasu. W cyklu tych usiłowań, obok niedawnych studjów K. Dobrowolskiego nad wczesną polską kulturą naukową, zapisujemy jedno jeszcze osiągnięcie: „Przysłowia polskie" prof. Bystronia[1]).

Jak wszystkie dzieła autora, jest to książka nietylko do nauki, lecz także do czytania. Zaleta to zarówno pióra, jak materjału. Ciekawy ponad miarę wątek książki zastanawia także metodycznie. Prof. Bystroń nie jest tu ani historykiem, ani historykiem literatury. Treścią studjum uczynił autor „cały zasób przysłowiowy w jego ciągłej zmienności, w związku ze zmianami socjalnego i kulturalnego podłoża" (s. 5). Stanowisko socjologa, definjujące przysłowie, jako „zespół słów, tradycyjnie powtarzanych", zadecydowało o szerokim zasięgu pracy. Prócz przysłów właściwych znalazło się tu wiele — nieprzysłów (wyraz Brücknera), to znaczy wyrażeń przysłowiowych, przypowiastek, sentencyj moralnych, nawet przysłowiowych dowcipów, przeciwko czemu podniósł się właśnie „w obronie przysłów polskich" głos Brücknera („Kurjer Warszawski", 1933, nr. 292[2]). Niekrępowana wiernością filologji postawa Bystronia ujawniła nieprzebrane bogactwo materjału kulturalnego, który książka zbiera i opisuje.

Zrębem treści są rozdziały środkowe (IV—VI), poświęcone analizie przysłów w związku z kulturą narodu i folklorem oraz podłożem etnicznem (kraje i ludzie). Wszędzie tu podkreśla autor silne kore-

[1]) Kraków, Polska Akademja Umiejętności, 1933.

[2]) Stanowisko podobne, jakkolwiek mniej rygorystyczne, zajął autor przed laty w rozprawie z „Ateneum", 1895.

lacje z życiem i jego szczegółowemi warunkami. Kolejno wyraża się przysłowiem kultura materjalna, społeczna i duchowa Polski, chętnie pielęgnująca obyczaj i tradycyjne sposoby myślenia. Wszystkie te partje przynoszą wiele do zbiorowej charakterystyki narodu, jego psychiki, temperamentu, zajęć. Oto przysłowia wyrosłe z polowania i rybołóstwa, z wojny i realjów wojennych, ze stosunków handlowych, rzemiosła. Nieraz zastanawia w tym materjale cenna wskazówka orjentacyjna. Np. uwaga autora, objaśniająca ubóstwo naszych przysłów rzemieślniczych: „zróżnicowanie zawodowe ludności polskiej nie było tak daleko posunięte, jak na zachodzie, technika rękodzieła stała daleko niżej i zapotrzebowanie niewielkie; na tle ogromnej ilości zwrotów, powstałych w związku z gospodarstwem rolnem, przysłowia, odnoszące się do rękodzieł, tworzą stosunkowo skromną grupę“ (s. 106). Kultura duchowa i społeczna wyraża się przysłowiami, związanemi z grami i zabawami, muzyką, szkołą, życiem religijnem, publicznem, prawnem. Tu uderza szczegół dość rewelacyjny: „Sądząc po ilości przysłów prawnych u nas, dochodzimy do wniosku, że (polska) kultura prawna była bardzo wątła“ (s. 20). Społeczeństwo szlacheckie, palestranckie i ziemiańskie, jak je widzimy w tekstach staropolskich, prawujące się po grodach przy lada okazji, świadczy raczej o pospolitej uprawie kultury prawnej i jej znacznym zasięgu, przynajmniej wszerz. Może więc przysłowia kłamią? Ale jedno nie zwodzi napewno (gospodarskie, ośmnastowieczne), określające popłatność zawodów w poszczególnych krajach: we Włoszech — doktór, we Francji — fryzjer, w Niemczech — rzemieślnik, w Polsce — prokurator pożywią się (s. 183, tekst przysłowia jest o wiele dłuższy).

Folklor, reprezentowany w przysłowiach szeregiem obrzędów rodzinnych, dorocznych, wierzeń, przepowiedni pogody, prowadzi nas do grup etnicznych. Przysłów sąsiedzkich, pełnych drwin regjonalnych, zwyczaj słowny przechował wbród. Są ona dawnego pochodzenia. Zastanawia przytem ich nierównomierne rozłożenie: „O ile wschód jest bardzo obficie zaopatrywany takiemi powiedzeniami, o tyle na zachodzie mamy tych sąsiedzkich zwrotów bardzo niewiele, i to dotyczą one przedewszystkiem grup mniejszych“ (s. 158). Szeregi, szczodrze przez autora cytowane, ustalają ciekawą hierarchję kulturalną, zachowaną w przysłowiu. Zachodnie ubóstwo przysłów sąsiedzkich widać dobrze na przykładzie Kaszub, jakkolwiek materjał Bystronia możnaby w tym zakresie pomnożyć, na podstawie „Mestwina“. Cały ten rozdział, pokazujący w przysłowiu kraje i ludzi, polskie grupy etniczne i stanowe, obce grupy na ziemiach polskich, obce ludy, wreszcie miejscowości polskie i obce, a potem historję polityczną, prowincjonalną i anegdotyczną, czyta się nietylko z podziwem dla erudycji autora, ale też z zainteresowaniem rosnącem dla rzeczy samej.

Ten to zasadniczy zrąb książki — podłoże socjologiczne przysłowia — zyskał należytą oprawę w rozdziałach wstępnych i końcowych. „Ogólne wiadomości o przysłowiach“ były potrzebne do zdefinjowania pojęć, ustalenia terminów, zakresu i metody oraz oceny roli społecznej przysłowia. Historyczny rozdział następny streścił rozwój polskiej paremjografji od czasów najdawniejszych do obecnych. W przeglądzie pozycyj staropolskich trzebaby się upominać za prof. Krzyżanowskim o pominiętą zasługę Biernata z Lublina, najstarszego paremjografa polskiego, przed Rysińskim. Nieco okazyj do uzupełnień nastręcza także przedstawienie następne, zwłaszcza wśród wieku XIX. Całe pokolenia, ograniczywszy pracę naukową do zbieractwa etnograficznego, gromadziły wszystko, co zostało z przeszłości; „literatura polska w kraju“— mówi Norwid z okazji „Niewoli“ —„zstępowała do ludu, namnożyła zbieraczy podań, przysłów, pieśni, obyczajów“. Pełno na to przykładów w książce Bystronia, które możnaby pomnożyć charakterystycznemi szczegółami lubownictwa Kraszewskiego, które sięgało do przysłów arabskich, Jachowicza[3]), Anczyca. Lekceważąc szczegóły, ogólnie warto podkreślić zasługę literatury XIX w. dla rejestracji naszych adagjów, pamiętając jednak, że zainteresowania te sięgały poza sfery literackie. Adam Bartoszewicz, z zawodu matematyk, oddawał się chętnie zbieractwu przysłów. Drobiazg ten, znany zresztą Bystroniowi, notuje m. in. Z. Bartoszewicz w pracy: „Dawna Biała na Podlasiu we wspomnieniach mego dziadka Adama“, 1928.

Prowenjencję literacką przysłowia rozważa rozdział następny: „Cechy formalne i artystyczne przysłowi“; nadto metrykę literacką dla niektórych zwrotów stara się ustalić wywód specjalny o źródłach literackich (r. VII). Szczególną uwagę wzbudzić tu musi partja o przysłowiach, które poszły z cytatów. Materjały zebrane starczą za „cenny przyczynek do dziejów wpływu literatury na umysłowość społeczeństwa“. Szeroki ten rejestr — od Kochanowskiego do Boy'a — stanowiący rzadkiej rozmaitości antologję, byłoby rzeczą ciekawą powiększyć najbardziej. Tu parę uzupełnień: Przysłowie: dwa a dwa jest lampa, o osobach nielogicznie myślących, które Bystroń kiedyindziej wymienia, wprowadził (pierwszy?) bodaj Sienkiewicz w „Bez dogmatu“, z intencją a n t y f e m i n i s t y c z n ą. Przysłowie greckie, spopularyzowane przez Rodziewiczównę, a więc dla nas literackie: „Między ustami a brzegiem puharu“, miało powstać na Itace, gdy Odysseusz przebił Antynoja; ugodzony padł, gdy niósł do ust puhar, nie zdoławszy przełknąć pierwszego łyku. Wypada zawierzyć autorytetowi Zielińskiego, „Świat antyczny. Starożytność bajeczna“, 1930 s. 458. Podobnie literacką genezę posiada popularne dziś w słowie i piśmie asnykowskie: Między nami nic nie było.

Temi to drogami rzetelnej analizy zmierza autor do konkluzyj końcowych; koroną dzieła jest rozdział: Światopogląd przysłowi.

Mnogość przywiedzionych zagadnień oraz zasięg treści dają miarę ogarniętego materjału. Lektura tekstów staropolskich — ze szczególnem uprzywilejowaniem Wacława Potockiego, na niekorzyść innych źródeł — przyniosła plon bogaty. Długi szereg nazwisk poetów i prozaików, który przewija się kartami monografji, przypomina historykowi literatury, jak ważną rolę odgrywa przysłowie w ornamentyce literackiej. Rzecz przechodziła ciekawe fazy, natężenia i upadku, w zależności od innych czynników literackich. Gdyby ktoś szkic taki ogłosił, wyszłyby interesujące zestawienia, jak wiele osiągnąć może artysta, umiejętnie operujący przysłowiem. Plejada pisarzy XIX w., wywodząca się ze szkoły Paska, chętnie korzysta z masy przysłów, ale niezawsze stopniuje efekty. Ileż natomiast wyraża osamotnione przysłowie literackie panny

[3]) Por. J. Muszkowski, „Kurjer Warszawski“, 1932, N. 355.

Marty z „Nad Niemnem“: wieczna niedola—wieczna głupota... wieczny śmiech, lub — z innego świata — znakomite porzekadło pana Micawbera z Dickensa: jeżeli się coś nie nawinie. Poza różnicami technik i sposobów autorskich, ujawniłyby się tu także wszelkie ciekawostki, np. geneza słynnych Niderlandów Zagłoby. Oczywiście na te wszystkie rzeczy nie mogło być miejsca u Bystronia; korzystamy z okazji, by zanotować zagadnienie.

Raz po raz natomiast rozwiązuje autor problemy genezy [4]). Tutaj spostrzegamy dobrodziejstwa metody. Przysłowie, związane z życiem, osadzone dokładnie w czasie i przestrzeni, tłumaczy się samo. Dociekanie filologiczne takiej monografji było niepotrzebne. Rozmaitość owych metod dobrze zobaczyć na jednym przykładzie. Wśród przymówek mazurskich cytuje prof. Bystroń złośliwą fraszkę Kochowskiego, że wąż, gdy ukąsi Mazura — zginie od jego krwi. Krew mazurska okaże się bardziej trująca, niż jad węża (s. 164). Brzydką pogwarkę sąsiedzką włączył autor do długiego szeregu znaczeń i zjawisk podobnych; rzecz, umieszczona wśród kampanji antymazurskiej, nabrała sensu socjalnego. A teraz geneza filologiczna. Z relacji dzisiejszej wiemy, że w sposób ten sam drwi się na Litwie jeszcze teraz ze Żmudzinów, wierszykiem: „A kiedy gadzina ugryzie Żmudzina, to zginie gadzina od jadu Żmudzina“. Rozszerzony zasięg etnograficzny tępi ostrze przeciw Mazurom. Więcej! Epigramat ten, niedowiary złośliwy, w pomyśle jest stary, jak sam epigramat; znamy np. ucinek Fokylidesa z Miletu, analogicznie szydzący z mieszkańców Anatolji. Dowcip wędrował wśród różnych krajów i wieków, aż pani namiestnikowa Zajączkowa mogła powiedzieć o Niemcewiczu, że „gdyby kogo ukąsił, ukąszony wściekłby się zaraz“ [5]). Filologiczna obrona Mazurów na podstawie faktów, których prof. Bystroń nie przytacza, Mazurów przecież nie obroni. Autor epigramat Kochowskiego związał z życiem współczesnem, co starczy za dokument socjologiczny.

Monografja Bystronia wyzwala ciągle okazje do podobnych przypomnień. Ale już pora usunąć na bok wszelkie inne drobiazgi: przygodne uzupełnienia, sprostowania, korekty, które tak łatwo dawać — w recenzji! Dziełko prof. Bystronia w szeregu innych publikacyj autora, pozostanie dowodem rzadkiej wiedzy i erudycji, mimo wszystkie uzupełnienia, które się tu ówdzie pojawią. Monografja sama, rzetelna w ustaleniach faktów, układająca z nazwisk, imion i anegdot najciekawsze obrazy przeszłości, prowokuje ton podobnie drobiazgowy. Nie widać było w tych uwagach, że książkę Bystronia czyta się jednym tchem, jak najlepszą prozę. Nie widać też było mnogości rzeczy, których się z „Przysłów polskich“ należało jedynie nauczyć. A pedantyczna recenzja z inwentarzem nazwisk uzupełniających, pełna cytat, przypomina jedną jeszcze cytatę — Podstolego: „Inwentarz tylko temu miły, czyj jest“.

E. P.

[4]) Warto zanotować nieuwzględnioną interpretację Rostafińskiego, genezy przysłowia: Wyszedł, jak Zabłocki na mydle. „Przegląd Geograficzny“, 1918, I, s. 74 — 5.

[5]) Cyt. J. Dihm, „Niemcewicz jako polityk i publicysta“, 1928, s. 76.

OFICJALNIE UWIEŃCZENI ANGLICY

KRÓLEWSKIE TOWARZYSTWO i AKADEMJA SZTUK PIĘKNYCH

Z POWODU założenia u nas Akademji Literatury przypomniał prof. St. Stroński w „ABC” początkowe dzieje Akademji Francuskiej, wykazując na nich, jak często wielcy ludzie pozostają poza takiemi instytucjami lub niezmiernie długo czekają na wejście do nich, a tymczasem na fotelach rozpierają się miernoty i pasorzyty. Przyszło mi na myśl, że nie od rzeczy byłoby zebrać analogiczny materjał z gruntu angielskiego. Cóż, kiedy zachodzi drobna trudność: Anglja nigdy nie miała akademji literackiej...

Wogóle panowała tam zawsze duża ostrożność na punkcie inicjatywy państwowej i tworzenia instytucyj kulturalnych o stemplu państwowym. Widać to na dziejach dwóch typowych akademij, Królewskiego Towarzystwa Londyńskiego (nauk ścisłych, *The Royal Society of London*, 1662) i Akademji Sztuk Pięknych (*The Royal Society of Arts*, 1765, w dzisiejszej formie 1768). Każda z nich (druga przez pół wieku zgórą) istniała naprzód jako zrzeszenie, powstałe samorzutnie i samo się uzupełniające, dopiero później dostały się pod opiekę państwa (nominalnie króla) i otrzymały odpowiednie nazwy. Zaszło to w obu wypadkach w epoce żywego rozwoju i nadchodzącego rozkwitu. W 20 lat po ukonstytuowaniu się Królewskiego Towarzystwa wyłuszczał już na jego posiedzeniach wyniki swych badań Newton, pierwszym zaś prezydentem Królewskiej Akademji Sztuk Pięknych był Reynolds, równocześnie jednym z członków Gainsborough. Umiano tedy uniknąć niemiłego czynnika mianowania, a zarazem zabezpieczyć się przed możliwą kompromitacją, gdyż wzięto na rachunek państwa organizacje, które już wykazały swą żywotność.

Jeżeli zestawimy to ostrożne postępowanie z utworzeniem naszej Akademji Literatury, przekonamy się, że w Polsce miała się rzecz wprost przeciwnie: wybrano czasy upadku piśmiennictwa, oparto się wyłącznie na inicjatywie państwowej i skład ustalono przy pomocy nominacji.

DILECTUS VALETTUS

Nie mając Akademji Literackiej, ma jednak Anglja instytucję analogiczną, mianowicie godność poety laureta. Sporadycznie pojawia się ona już w wiekach średnich, nie warto jednak z tego okresu wyliczać nazwisk — poza jednem: Geoffrey Chaucer otrzymywał od Edwarda III corocznie beczkę wina i skromną pensję, lecz zdaje się, że zawdzięczał to nie tyle swej poezji, ile zasługom wojskowym i dyplomatycznym, a przedewszystkiem okoliczności, że był szwagrem jednego z królewiczów. Warto zanotować, pod jakim tytułem figuruje Chaucer w dokumencie, przyznającym mu zaopatrzenie: *Dilectus valettus* jego królewskiej mości.

PROTEGOWANI TUDORÓW

Za Henryka VIII nosił tytuł poety laureata jego były nauczyciel Skelton, ale ten uwieńczony

został przez uniwersytety, ojczyste i obce, nie przez monarchę, i napisał kilka ostrych paszkwilów przeciw jego ministrowi, kardynałowi Wolsey. Wskutek tego musiał nawet szukać azylu w Opactwie Westminsterskiem i tam może zakończył życie.

Elżbieta nie ozdobiła największego niedramatycznego poety swych czarów, Edmunda Spensera, żadnym wieńcem ani o wieńcu mówiącym tytułem, za tysiączne jednak, mocno przesadne pochlebstwa przyznała mu skromną pensję. Niestety skarb przeważnie jej nie wypłacał i autor „Królowej Elfów“, gdzie tytułową postacią była Elżbieta, umarł w strasznej nędzy, wedle pewnych źródeł nawet z głodu. O tem, aby Szekspir kiedykolwiek coś otrzymał od Elżbiety lub Jakóba I, nie wiadomo. Za Jakóba zespół aktorów do którego należał, miał nazwę Sług Jego Królewskiej Mości, która naturalnie przysługiwała i poszczególnym członkom.

ZA STUARTÓW

To były tylko epizody. Trwałe następstwo laureatów zaczyna się w rok po śmierci Szekspira. I oficjalne wawrzyny i pensję otrzymał (1617) Ben Jonson — niewątpliwie jako autor t. z. masek, grywanych na dworze. Atoli wybór był trafny, bo między młodszymi dramaturgami okresu Jonson zajmował rzeczywiście pierwsze miejsce.

Po jego zgonie w r. 1637 został laureatem William Davenant. Odznaczył się później jako żołnierz i zawdzięczał temu tytuł *Sir*, był dyrektorem teatru i pionierem opery. Lubił, gdy mówiono pocichu, że jest synem z nieprawego łoża Szekspira. Genjuszu jednak—nawet jeżeli to była prawda, — po ojcu nie odziedziczył. W przedmowie do swej pretensjonalnej epopei „Gondibert“ zestawiał siebie z Homerem. Dzieło to pokrył grubą warstwą pył zapomnienia...

Republikanin Milton nie mógł, rzecz jasna, marzyć o godności urzędowego księcia poetów, ale możnaby z tych czasów wyliczyć szereg nazwisk o wiele większych od nazwiska Davenanta—choćby autora przepięknych liryków Herricka lub świetnego satyryka Butlera. Obaj byli rojalistami i w czasie rzeczypospolitej cierpieli za swe przekonania, a Butler wymierzył swego „Hudibrasa“ przeciw purytanom i republikanom. Obaj jednak biedowali jako źle uposażeni duchowni. Nie umieli prosić i nic nie dostali.

W r. 1670 padł wybór Karola II na Johna Drydena, rzeczywiście największego poetę epoki. Pobierał on poważną na owe czasy pensję 300 funtów rocznie i oddał obu ostatnim królom z rodu Stuartów duże usługi piórem. Ciężką miał starość, gdyż za Jakóba II przeszedł na katolicyzm (prawdopodobnie z przekonania), więc po rewolucji 1688 r. utracił godność i pensję na rzecz lichego komedjopisarza Shadwella, który miał tę zaletę, że był anglikaninem i wigiem...

Już Dryden oprócz owych znakomitych satyr politycznych pisał był także panegiryki na cześć królów — szczere, ale małej wartości i niezbyt smaczne. Shadwellowi nałożono to jako obowiązek, wprowadzając rodzaj planowej gospodarki. Biedny laureat, któremu pensję obcięto, musiał regularnie na Nowy Rok i na królewskie urodziny pisać ody.

ZA KRÓLOWEJ ANNY

Wysoko ceniono literatów z początkiem wieku XVIII. Wobec tego, że ustalił się system rządów parlamentarnych, potrzebne były ich pióra do propagandy. To też zasługi ich nagradzano urzędami dworskiemi i ambasadami. Addison był nawet przez jakiś czas sekretarzem stanu. Godność laureata zostawiano dla osobistości podrzędnych. Nahum Tate znany jest dziś chyba z satyrycznej chłosty, jaką wycierpiał od Drydena, i barbarzyńskiej przeróbki „Króla Leara“. Mikołaj Rowe nieudolnie naśladował Szekspira, zato przynajmniej napisał jego pierwszy życiorys (zresztą dość fantastyczny).

ZA DYNASTJI HANOWERSKIEJ

Pierwsze nazwisko laureata z czasów Jerzych, Wawrzyńca Eusdena, znalazłem... w „Encyklopedji Brytyjskiej“. Po historjach literatury o niem głucho. Nastąpił potem Colley Cibber, dobry aktor i autor ciekawych pamiętników. Nie bez sprytu przerabiał sztuki z francuskiego i parokrotnie dopuścił się plagjatu, ale znany jest głównie jako centralna postać satyrycznego poematu Pope'a (ten jako katolik i torys nie mógł rościć sobie pretensyj do oficjalnych laurów). W „Dunciadzie“ (od *dunce* — tuman) boginy głupoty koronuje Cibbera na króla. Figuruje tam i jego następca William Whitehead, którego ody nielitościwie wydrwiwano.

Wogóle godność laureata upadła w tych czasach bardzo nisko. Dobijali się o nią podrzędni poeci—wybitniejsi gardzili marną płacą i obowiązkiem pisania ód urodzinowych. Jeszcze za królowania Cibbera napisał Ryszard Savage na urodziny królowej panegiryk pod charakterystycznym tytułem „Laureat ochotnik“ — i przyniosło mu to 50 funtów rocznie z łaskawem pozwoleniem tworzenia corocznie na ten sam temat. Zawistny Cibber drwił sobie z samozwańca, radząc mu, aby wystąpił jako lord ochotnik lub baronet ochotnik, a dyktator literacki epoki dr. Johnson zwrócił uwagę, że królowa zastosowała zasadę „nie za darmo“, gdy stara aktorka Mrs. Oldfield bezinteresownie wspiera tego samego chudego poetę takim samym rocznym zasiłkiem.

W OGNIU SZYDERSTWA

Kpiny z laureatów i z samej instytucji weszły teraz poprostu w zwyczaj. Gdy w r. 1785 godność znowu wakowała, znalazło się kilku dowcipnisiów, którzy napisali szereg „ód próbnych“, niby-kandydackich, ośmieszając poezję panegiryczną, a równocześnie parodjując świetnie styl kilku współczesnych poetów. Ktoś (może George Ellis), pisząc stylem Macphersona, widzi Jerzego III we mgle i porównywa jego postać z „wodnistą chmurką, śpiewającą, jak ostryga w głębinach morskich“.

Laureatem został Tomasz Warton, mierny poeta i historyk literatury, lecz pionier nowych prądów i osobistość bynajmniej nie komiczna. Stanowisko jednak było ośmieszone i zjadliwy John Wolcot, używający pseudonimu Piotra Pindara, wystąpił wnet z „Odą do ody“. Szydził nie tyle z Wartona, ile z króla, mianowicie tłumaczył laureatowi, że niewiele może spodziewać się za swe panegiryki, ponieważ Jerzy jest skąpy nawet dla własnych dzieci. Był to pierwszy atak Wolcota na monarchę, któremu poświęcał on coraz nowe utwory,

jeden złośliwszy od drugiego. Prawo angielskie nie miało przeciw szydercy żadnego środka, zresztą Jerzy był niepopularny z powodu swych absolutystycznych zachcianek i uporu, który doprowadził do utraty kolonij amerykańskich. Panegiryki laureatów rodziły się martwe, a „Piotr Pindar“ do dzisiaj żyje w literaturze.

PRZYSŁOWIOWY PYC

Dochodzimy do czasów największego rozkwitu niedramatycznej poezji angielskiej. Około daty zgonu Wartona (1790) działają już: poeta przyrody Cowper, mistyk Blake, realista Crabbe, w Szkocji wielki liryk Burus. Wnet wystąpią pierwsi tytani romantyzmu Wortsworth i Coleridge. Lecz są wszyscy prawie (przynajmniej na razie) przeciwnikami rządu.

Laureatem zostaje zrujnowany szlachetka prowincjonalny, Henryk James Pyc. Najtrwalszą rubryką jego spuścizny jest rozprawa... o obowiązkach sędziego pokoju poza sesjami sądów przysięgłych. Natomiast jego epopea o Alfredzie Wielkim i rozwlekłe, przeraźliwie nudne ody, których dostarczał z urzędniczą sumiennością na każdy Nowy Rok i na każde urodziny najjaśniejszego pana, stały się powszechnem pośmiewiskiem, nazwisko jego weszło w przysłowie.

DWIE „WIZJE SĄDU“.

Syt chwały, umarł Pyc w r. 1813. Wybór nie był zbyt trudny. Coleridge i Wordsworth należeli teraz do konserwatystów, ale sława ich była nieco przebrzmiała. Opinja publiczna przyznawała palmę pierwszeństwa Scottowi i Byronowi. Byron jako rewolucjonista nie był możliwy, rząd zwrócił się więc do Scotta. Temu wyborowi nie można było nic zarzucić—cóż, kiedy autor „Dziewicy z jeziora“ nie przyjął ośmieszonej godności. Polecił natomiast Roberta Southey, autora kilku poematów epickich, pięknych, choć mało popularnych wskutek egzotyczności treści i formy. Dla ubogiego poety była pensyjka prawdziwem dobrodziejstwem. Nie żądano już teraz zresztą punktualnej „współpracy z rządem“ w formie dwóch ód na rok.

Stanowisko laureata zapewniło Southey'owi skromne utrzymanie, ale nie przyniosło mu szczęścia. Spędził on długie lata (do r. 1843) pośród książek, pisząc prawie wyłącznie prozą. Do poezji wrócił jedynie w charakterze laureata właśnie, pragnąc przecież koniecznie uczynić zadość tradycji i obowiązkowi. Gdy w r. 1820 umarł obłąkany oddawna Jerzy III, Southey napisał rozpaczliwym heksametrem „Wizję sądu“, przedstawiającą jego przyjęcie w niebie. Wykazał przez to absolutny brak poczucia humoru, lecz stał się źródłem cudzego humoru.

Byron ogłosił pod tym samym tytułem najświetniejszy zapewne poemat satyryczny w języku angielskim. Rzecz dzieje się u bramy niebios. Archanioł Michał i Szatan występują z pretensjami do duszy króla i powołują świadków, przyczem Byron rozwija bogactwo subtelnej, a ironicznej charakterystyki, poruszając szereg głośnych spraw panowania Jerzego. Powstaje ogólna kłótnia, podczas której król chyłkiem wkrada się do nieba i odrazu bierze się do śpiewania psalmów.

Nie był to jedyny atak Byrona na Southey'a. We wstępie do „Don Juana“ już napiętnowany on jest jako renegat, oportunista i pochlebca. Czyniąc aluzje do sztuczek, jakiemi urozmaicano uczty średniowieczne, Byron mówi tam o całej grupie poetów torysów jako o dwudziestu czterech kosach w pasztecie (*pyc*). Po rozcięciu pasztetu zaczną śpiewać — smaczna potrawa dla króla lub regenta, zdawna przyzwyczajonych do podobnego wiktu. Jest to naturalnie igraszka wyrazów z aluzją do poprzednika Southey'a. Byron zarzuca temu, że marzy o zostaniu jedynym ptaszkiem w pasztecie. Wogóle jest tu dla niego niesprawiedliwy, ale sprawiedliwie chłoszcze oficjalną poezję i panegiryzm.

ZA KRÓLOWEJ WIKTORJI

Następne dwa pociągnięcia były szczęśliwe. Po Southey'u mianowano Wordswortha—starca już i od długich lat piszącego bez natchnienia, jakby tylko z nawyku, ale poetę wysokiej klasy, oddając przez to hołd minionemu wielkiemu okresowi romantyzmu. Po zgonie Wordswortha w r. 1850 został laureatem jeden z dwóch największych poetów wiktorjańskich, Alfred Tennyson. Korzyści materjalne były niewielkie—72 funtów pensji rocznej i 27 funtów zamiast beczki wina. O tę zamianę postarał się był już praktyczny Pyc. Nie żądano też od Tennysona panegiryków. Będąc jednak gorącym patrjotą, podnosił on ducha w czasie wojny krymskiej, a mając szczerą cześć dla królowej, parokrotnie zwrócił się do niej w swej poezji.

Gdz umarł — już jako lord — w r. 1892, rząd znalazł się w kłopocie. Swinburne był rewolucjonistą, Morris socjalistą. Po paru latach namysłu zamianowano ostatecznie Alfreda Austina, poetę drugorzędnego, ale niepozbawionego talentu. Pewien niesmak wywołał jego wiersz, gloryfikujący nieudały zamach d-ra Jamesona na niepodległość Transvaalu (1896).

NAJNOWSI LAUREACI

Od r. 1913 do 1930 oficjalne wawrzyny zdobiły skroń Roberta Bridgesa, subtelnego estety i mistrza formy, którego poezja nie znalazła oddźwięku w szerokich masach. Po nim nastąpił John Masefield, płodny i popularny, być może najodpowiedniejszy kandydat, jakiego miano. Ostatni trzej laureaci nie zasługują zapewne na miano wielkich pisarzy, ale to wina ubogiej naogół w poezję epoki. W każdym razie instytucja laureata odzyskała nieco powagi.

KONKLUZJE

Czego uczy nas ten przegląd?

Poza szczęśliwym początkiem i mianowaniem Drydena, który jednak, jedyny z pośród laureatów, został zdetronizowany, godność przez lat przeszło dwieście przypadała w udziale co najwyżej miernotom, a czasem nawet zupełnie niegodnym, którzy okrywali ją śmiesznością. Nie dostała się w ręce żadnego z największych poetów — Milton, Byron, Shelley i Keats nie zostali uwieńczeni. Moralnie zyskała instytucja laureata na zwolnieniu go od panegiryków. Do rozwoju poezji nie przyczyniła się ani trochę — i nic dziwnego. Pensja i urzędownie uznana nieśmiertelność nie dają natchnienia, które jakoś chętniej zlatuje na ubogie poddasza.

WŁADYSŁAW TARNAWSKI

NA WIDOWNI

„Tydzień Książki Polskiej“ — „Zredukowana“ emerytka — Krzyzys rzeczywisty i głęboki — Książka obrońcą osobowości — Miłość ku książce i jej rola.

BANALNIE rozpoczął się „Tydzień Książki Polskiej“: nieodzowna „akademja“, na której p. minister przemysłu i handlu dekorował orderami kilku księgarzy, szablonowa frazeologja mów okolicznościowych, zdawkowa życzliwość prasy. Komitet stołeczny „Tygodnia“ ogłosił krótką odezwę, gdzie wyraził „nadzieję, że obywatele uprzytomnią sobie w tych dniach o zasługach książki polskiej, która w dobie niewoli była jedyną karmią, jedyną ostoją, jedyną pociechą i jedyną bronią narodu... W imię więc obowiązku i wdzięczności dla literatury polskiej... wzywa ludność: Do księgarń, do księgarń, do księgarń!“.

Zautomatyzowanie, nakazujące przy każdej uroczystszej okazji zwracać się po natchnieniu ku „dobie niewoli“, w tym wypadku w całej okazałości uwydatniło związany z niem sposób myślenia. Oczywiście, w niepodległem państwie, książek już się teraz nie czyta, poprostu niema żadnej tego potrzeby, ale wstyd przecież byłoby zapominać tak całkowicie o zasłużonych weterankach z okresu walki przeciw zaborcom. Książce także należy się jakaś emerytura, skoro po odbudowie „państwowości“ jej rola narodowa jest zakończona; „wdzięczność i obowiązek“ skłaniają do zastanowienia się nad faktem, że były czasy, o warunkach tak dalece odmiennych od dzisiejszych, iż lektura książek istotnie wówczas była rzeczą praktykowaną, iż uważano ją nawet za niezbędną...

Już to choćby, że do nabywania książek nawołuje się w sposób tak bezmyślny, ujawnia sytuację, nad którą poważniej należałoby się namyśleć. Banał frazesu, jakim powitano rozpoczęcie „Tygodnia“, ostrzega, iż niebezpieczeństwo bynajmniej nie jest banalne. Książka rzeczywiście przechodzi obecnie kryzys, niezbędność jej coraz mniej jest w społeczeństwie odczuwana, nawet bez zaglądania do statystyk zauważa się z łatwością, jak nie bolesne są dla oświeconego ogółu najdalej nawet posunięte prywacje w tym zakresie. Bez wątpienia, prawnik kupuje teksty ustaw, inżynier — tablice, potrzebne do obliczeń, uczeń i nauczyciel—podręczniki szkolne... Ale książka, jako potrzeba osobista, nie narzędzie pracy zawodowej, jako „karm“ duchowa (mówiąc patetycznem słownictwem odezwy) i źródło wiedzy, coraz zupełniej zastępowana jest przez dziennik, radjo, kino. Zbyt daleko zaprowadziłoby analizowanie przyczyn tego, nie dającego się zaprzeczyć zjawiska. Warto jednak, chociaż przez chwilę, zadumać się nad pytaniem: co się traci wskutek tak dokonywającej się przemiany, co właściwie zostało przez nią zagrożone, jakim wartościom niesie przewrót dokonywający się zagładę?...

Książka—w dzisiejszych warunkach—to jeden z głównych sposobów komunikowania społeczeństwu i krążenia w niem myśli mniej uzależnionej, rzetelniejszej. Rozgłośnia radjowa, teatr, film, dziennik — to przedsięwzięcia, wymagające znacznych bardzo nakładów pieniężnych, z natury rzeczy przez niektóre tylko sfery możliwych do łożenia i od nich też w ogromnej mierze zawisłe. Pośrednio (bodaj przez korzystanie z wielkich, oficjalnych agencyj informacyjnych) lub bezpośrednio (subsydja, koncesje, ogłoszenia płatne) w węższym lub szerszym zakresie są na usługach potrzeb propagandy urzędowej, lub, ściślej mówiąc, tych żywiołów tudzież tendencyj, których ona, w danym momencie, jest wyrazem. Wydanie książki, nawet własnym kosztem przez autora, lub drogą subskrypcji, to zadanie o wiele mniej wymagające środków materjalnych, o wiele dostępniejsze. Strach pomyśleć, jaka niewola umysłowa, jaka bezwzględna, choć częstokroć niezbyt widoczna selekcja w dostarczaniu strawy duchowej, grozi odbiorcom jej, tak pochopnie zamieniającym książkę na dziennik albo słuchawkę radjową...

Książka wszakże jest podporą i wyrazem indywidualności ludzkiej także w innem jeszcze znaczeniu. Gdy się wejdzie do pokoju czyjegoś i spostrzeże głośnik czy „aparat lampowy“, niewiele poinformuje to o umysłowości czy o upodobaniach mieszkańca. Gdy się ujrzy prenumerowaną przezeń gazetę, określi ona, do jakiego z kilku głównych odłamów opinji można go, zgrubsza biorąc, zaliczyć. Ale gdy się ogląda książki, na półce lub w szafie, zdradzą one bez porównania więcej. Tu już kończy się przymusowa seryjność, szablon, zaczyna się gust osobisty, jednostkowy. Każda bibljoteczka różni się mniej albo więcej od drugiej, kryje w sobie atmosferę jakby poufności, ścisłego, wewnętrznego związku z psychiką jej właściciela. Abonent radja czy dziennika nie wyznacza sobie sam swych zainteresowań, biernie poddaje się, jako odbiorca, programowi, który mu na daną datę ułożono i dostarczono. Tylko z książką obcuje się swobodnie całkiem, jak z przyjacielem. Biorę w ręce ulubiony tom wtedy właśnie, gdy tej, nie innej potrzeba mi otuchy czy orzeźwienia, szukam tych spraw, które w tej chwili zainteresowały mój umysł czy wyobraźnię. „Pociecho moja, ty książeczko...“ — pisał wskrzesiciel graficznego piękna książki polskiej, Stanisław Wyspiański.

Boć zresztą z tego chyba prywatnego, tkliwości pełnego stosunku do książki musiało zrodzić się owo od wieków widoczne dbanie o jej ozdobę zewnętrzną, niczem strojenie osoby sercu miłej — odzieniem najcenniejszem i klejnotami. Bez tej tkliwości, jakże zrozumieć rozliczne, zabawne nawet nieraz dziwactwa bibljofilstwa? Ileż najszczerszej prawdy psychologicznej mieści się w poetyckiej przedmowie Kasprowicza, jaką opatrzył dokonany przez siebie przekład średniowiecznego, angielskiego traktatu „O miłości do ksiąg“, kardynała Ryszarda de Bury:

„O, jak oko przecudownie pieści
ta czcionka, ta oprawy mistrzowska robota,
dla której nie szczędzono kosztownego złota!
Te dziwne kopersztychy, te inkunabuły,
te stare drzeworyty jakiż oddźwięk czuły
i swą nieudolnością znajdują u człeka,
jeżeli tylko nie jest, jak biedny kaleka,
ślepotą nawiedzony!“

W czasach dzisiejszych, w dobie ujednostajniania, standardyzacji, uniformu, nakładanego oficjalnie na ciała i dusze, książka i miłość do niej staje się obrońcą indywidualności, osobistych, niezależnych, upodobań i myśli swobodniejszej, obrońcą godności intelektualnej jednostki przed narzucanym jej roz-

maitemi sposobami szablonem. Bardziej, niż kiedykolwiek, potrzebuje Polak współczesny tego sprzymierzeńca. Musi skupić się wewnętrznie, wzmocnić swą osobowość, by w niej, w instynktach własnych odnalazł owe węzły, włączające go w zbiorowość moralną narodu, — węzły jedynie mocne rzeczywiście i prawdziwe, a dzisiaj sztucznie rozrywane i niszczone, w imię wyzutej z treści, pojętej płytko, a ponadto nieszczerze głoszonej, formalnej jednolitości...

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

WYNIKI WYBORÓW DO RAD MIEJSKICH W WIELKOPOLSCE I NA POMORZU w sercu wierzącego w naród Polaka obudzić muszą uczucie niecodziennej dumy. Najważniejszym argumentem za „sanacją" jest przecież przypuszczenie, że na lepszy porządek w kraju nas nie stać, że sanacyjny system rządzenia odpowiada właśnie cywilizacyjnemu poziomowi społeczeństwa. Głęboko w duszy każdego zwolennika „sanacji" zakorzenione jest przekonanie, że rządzić nami może tylko rozkaz, że bat — jak to wyraził jeden z pisarzy „Czasu" — „bat jest nieodzownie potrzebny". Podstawowe to założenie konserwatystów sanacyjnych, że naród nasz nie jest żadnym porządkiem, żadną etyką, żadną dyscypliną, z któremi należałoby się liczyć w polityce. To dobre może u narodów zachodnich, „nas" ująć w karby można tylko strachem i zagrożeniem jednostkowych interesów. W świetle tej doktryny szczególnie zabawnie przedstawia się pogląd na „zmaterjalizowanie" naszych dzielnic zachodnich. „Zmaterjalizowane" mieszczaństwo Poznańskiego i Pomorza w sposób imponujący przeciwstawiło się przy ostatnich wyborach „sanacji" z tego najgłębszego powodu, że *règime* jej uważa za coś nie odpowiadającego godności cywilizacji polskiej. Ta bezinteresowność pobudki, ta odporność wobec pokus, które niechybnie zjednać powinnyby wszelkich „materjalistów", przypomniały innym dzielnicom zaniedbywaną dziś prawdę, że należymy do rządnego świata cywilizacji zachodniej. Społeczeństwo Poznańskiego i Pomorza wspaniałą jednolitością postawy przy ostatnich wyborach dało reszcie Polski subsydjum otuchy, jakiej owa reszta bardzo potrzebowała. Suggestja, że nie mamy żadnych przywiązań ani przekonań w polityce, że społeczeństwo nie ma żadnego poczucia godności i gotowe orjentować się tylko podług komendy, sączona jest w masy polskie nieustannie. Nie zdołała jednak zatrzeć mocnej indywidualności politycznej zachodniego polskiego społeczeństwa, ani zniepráwić jego politycznych gustów. Mamy tu do czynienia naprawdę ze zjawiskiem odporu, moralnie pięknem i godnem szacunku. Kiedy czytamy, że np. w Kruszwicy lista nr. 1 (sanacyjna) zdobyła 5 mandatów, Stronnictwo Narodowe 7, albo w Kórniku lista nr. 1 — 4 mandaty, Str. Narodowe — 8, to w pełni oceniamy, jak szlachetny jest „prowincjonalizm" tych wyborców, który tak tłumnie kazał im stanąć do walki o godność cywilizacji polskiej przeciw „sanacji". Wiadomo, że w wyborach wzięło udział także wojsko. Kiedy czytamy, że w różnych miejscach listy opozycyjne unieważniono ze względów formalnych i że np. w Radzyniu lista nr. 1 uzyskała wszystkie 12 mandatów, w Janowcu lista nr. 1 wszystkie 12 mandatów, w Pakości i wielu innych miasteczkach podobnież — to także te czynniki oceniamy należycie. Wybory do rad miejskich, przeprowadzone w osiem lat przeszło od nastania *règime*'u sanacyjnego, okazały dowodnie, że społeczeństwem ziem zachodnich rządzić nie można skutecznie przy pomocy „bata". Osłabić to musi wiarę w fetysza i gdzieindziej.

ROZMOWY FRANCUSKO-NIEMIECKIE nie dały długo na siebie czekać, nastąpiły zaraz po rozmowach niemiecko-polskich. Cóż się stało? Hitler przyjął na posłuchaniu posła polskiego; niedługo potem, ale całkiem niezależnie od tego, otrzymał audjencję u kanclerza poseł francuski... Trudno napozór wyrozumieć, czemu audjencje, czasem zakończone banalnemi deklaracjami, wywierają tak wielkie w świecie „politycznym" wrażenie. Z pewnością jednak w dużym stopniu tłumaczyć to należy tą samą psychozą, która np. spotkanie „delegatów 49 państw świata" uważać każe za zdarzenie niezwykle ważne, niezależnie od wyniku takiej konferencji. „Tu na tem zgromadzeniu spotykają się przedstawiciele 49 państw świata" — obwieszczać zwykł z triumfem przewodniczący anglosaski w takich okazjach, i spoglądać po zebranych z nietajoną duma, choćby miała to być konferencja tak bezpłodna, jak Wszechświatowa Konferencja Ekonomiczna. Prasa i organizatorzy uważać są gotowi za olbrzymi sukces spotkanie się delegatów 49 czy nawet wszystkich państw świata, choćby to spotkanie uwydatnić tylko miało, że różnice pomiędzy temi państwami nie zostały ani trochę, ani na jotę wyrównane... Samo „spotkanie", sama „rozmowa" stanowiła w tych wypadkach dla „opinji" dostatecznie efektowne wydarzenia. Nie co innego, jak przedewszystkiem zewnętrzny efekt „rozmowy" mieli przedewszystkiem na celu aranżerowie spotkania poprzednio dyplomaty polskiego, a obecnie francuskiego z kanclerzem Hitlerem. W obu wypadkach zachodzi uzasadnione pytanie, czy rozmowy te wniosą coś istotnie nowego do stosunków polsko-niemieckich, względnie francusko-niemieckich. W obu wypadkach z pewnością chodzi głównie o manifestację. Dodajmy z przykrością, manifestację nietyle wobec wroga, co wobec sprzymierzeńca. Ci, co winszowali sobie samodzielności kroku Polski wobec Niemiec, przyznać jednak obecnie muszą, że i Francja niemniej jest od Polski samodzielna. Zamiar manifestowania samodzielności, tak jakby jej nie było, najszkodliwszą był niewątpliwie pobudką, jaka na politykę polską w tym względzie mogła oddziałać. Bez czczej megalomanji przyznać musimy, że Francja od nas nie gorsza. Stać ją na „samodzielność" wobec Niemiec przynajmniej w tym samym, co nas, stopniu.

Stosunki polsko-francuskie nie są tak ścisłe, ani tak zażyłe, jakby sobie tego stanowczo życzyć należało. Widać to najlepiej wtedy, kiedy „porozumienie" osiąga najwyższy stopień serdeczności, jak przy ostatniej wizycie ministra Becka w Paryżu. Dowiadujemy się wtedy za pośrednictwem „Iskry" nowin sensacyjnych, w rodzaju tej, zakomunikowanej przez dyr. Stieglitza-Ścieżyńskiego, że Paul Boncour nie będzie miał czasu na rewizytę w Warszawie. Wtedy dopiero, gdy porozumienie zwyczajne przedstawione zostaje jako nadzwyczajność, najlepiej dostrzegamy, że polityka polska nie utrzymuje z francuską należytego kontaktu. Dziwne jest pojęcie samodzielności, która ma się uwydatniać

w rozluźnianiu pożytecznego przymierza. Potępić to należy, nawet choćby rozluźnienie sprzymierzeńczych węzłów było tylko pozorne, nie istotne. Właśnie w danym wypadku mówić można tylko o rzekomej, mniemanej niezależności odruchów polityki polskiej — i francuskiej. W rzeczywistości nic nie upoważnia do przypuszczenia, że rozmowy polsko-niemieckie, czy francusko-niemieckie pozwolą nie oglądać się Polsce na Francję, albo Francji na Polskę. Nie. Mieliśmy do czynienia tylko z manifestacją. Przyszłość okaże, czy rozmowy państw o interesach sprzecznych we 'dwójkę okazać się mogą owocniejsze od rozmów kilkudziesięciu państw o interesach sprzecznych, rozmów prowadzonych, dajmy na to, na Wszechświatowej Konferencji Ekonomicznej.

UWAŻNY OBSERWATOR ŻYCIA WARSZAWY dostrzega w niej od pewnego czasu nieznane doniedawna zjawisko: wytworne automobile osobowe z cudzoziemską tabliczką numerową, zawierające prócz sążnistego szeregu cyfr arabskich, niezmiennie te same litery „I A“.

Nie wszyscy wiedzą, co litery te znaczą. — Znaczą one poprostu, że te tak ostatnio na warszawskim bruku liczne eleganckie automobile pochodzą z Berlina. Cyfry rzymskie w niemieckiej nomenklaturze automobilowej oznaczają kraj, a litery — prowincję. Np. „I A“ oznacza Berlin, „I C“ — Prusy Wschodnie, „I E“ — Brandenburgję, „I K“ — Śląsk, „II A“ — Monachjum, „II B“ — Górną Bawarję, „III A“ — Stuttgart i t. d.

Skądże ten zalew ulic Warszawy gośćmi z ościennej stolicy? Czyżby ogłaszane przez prasę sanacyjną „zbliżenie“ polsko-niemieckie przejawiało się m. in. w takiem ożywieniu polsko-niemieckiej turystyki? I to przejawiało się na szereg miesięcy przed słynną rozmową kanclerza Hitlera z posłem Lipskim? Przypuszczeniu, że ten napływ berlińskich aut do Warszawy jest wyrazem polsko-niemieckiego zbliżenia, przeczy jednak niepozbawiona znaczenia okoliczność, że osoby, które autami temi jeżdżą, jakoś dziwnie nie przypominają Niemców. Są to *gentleman*'i o typie wyraźnie południowym — i strojne, wymalowane damy, również na córy rasy nordyckiej nie wyglądające.

Warszawa zalana jest berlińskiemi żydami. Wystarczy przejść się po Mazowieckiej, po Wierzbowej, po Krakowskiem, po Nowym Świecie, po Alejach Ujazdowskich, by to stwierdzić.

NAUKA I LITERATURA

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Poznań zakasował Warszawę. Mamy na myśli „Tęczę“, miesięcznik ilustrowany dla wszystkich. Czasopismo takie nazywają na Zachodzie „magazynem“. I istotnie jest to magazyn i bardzo bogaty. Mamy w ręku zeszyt listopadowy (11) i mile jesteśmy zdziwieni postępem, jaki to wydawnictwo w krótkim czasie zrobiło. Znajdujemy rzeczy tak cenne, jak humorystyczne rysunki Jana Matejki, z rozprawką M. Szukiewicza o tej nieznanej bocznicy prac Matejki. Są tam doskonałe nowele ilustrowane: Hamsuna i Henry'ego, jest z literatury doskonały szkic Wandy Miłaszewskiej o młodym Sienkiewiczu. W dziale podróży bardzo interesujący opis pobytu w Palestynie ks. Kneblewskiego. Nie brak poezji i to pierwszorzędnej: Iłłakowiczówny „Podróż po Czechosłowacji“. Są działy naukowe i techniczne, ogromny zapas rozrywek umysłowych, przegląd zdarzeń z całego miesiąca. Chlubą też miesięcznika są artykuły o społecznych sprawach aktualnych; w tym zeszycie mamy W. Adamskiego o wychowaniu państwowem i K. L. Konińskiego o „Elicie“.

„Tęcza“ jest wydawnictwem zakładów księgarni Św. Wojciecha. Jest to popis polskiej produkcji książkowej, bo i papier własny, i drukarnia własna, i klisze własne. A wszystko w przednim gatunku. (W.)

*

W „Bibljotece Filomaty“ ukazał się tomik, na który złożyły się prace aż trzech autorów, zazębiające się z sobą wzajemnie, gdyż dotyczą jednego tematu: poezji Horacjusza. Na czoło wysuwa się żywo napisany szkic L. H. Morstina „*Ecce poeta*“. Autor dobrze odczuwa Horacego, którego jest tęgim tłumaczem, więc umie wlać w czytelnika zarówno swój entuzjazm jak i przekonanie co do słuszności tchnących znaczną świeżością (choć niezawsze może oryginalnych) spostrzeżeń; może tylko wkońcu nieco nużyć powtarzane ustawicznie dowodzenie, że Horacy „był poetą“ — co rozumieć należy, że był poetą *par excellence*, w każdym calu; „odkrycie“ to nie jest ani zbyt nowe, ani zbyt głębokie, by je tak wciąż akcentować! Życiorys Horacego, napisany przez A. Rapaporta, jest szczegółowy i przejrzysty, więc dla czytelników, chcących się czegoś dopiero dowiedzieć o Horacym, pożyteczniejszy jest zapewne, niż impresja Morstina — w każdym razie mimowoli przychodzi niejednemu na myśl, że to dwa grzybki w barszczu. W tej drugiej części najważniejsze są gruntowne omówienia kolejno wszystkich dzieł Horacego, w porządku chronologicznym; posłużono się tu przekładami różnych tłumaczy, tak iż powstała jakby drobna antologja przekładów. Samemi przekładami zajął się „*in Bunde der Dritte*“, prof. Ganszyniec; szkoda, że przeoczył tak ważne pozycje jak Mickiewiczowski przekład Carm. II, 2, jak „transkrypcje“ K. M. Górskiego i przekłady H. Sienkiewicza, na czele ze sławną trawestacją „*Beatus ille*“, ogłoszoną ongi w „Słowie Polskiem“ za szczęśliwych lat tego pisma. Nowość stanowią wiadomości o studjach horacjańskich w Polsce, począwszy od akademji krakowskiej w średniowieczu (Jakób Parkosz), a skończywszy na Morawskim, Since i Popławskim. Podobno wkrótce ukaże się zmienione opracowanie tej książeczki, już pozbawione usterek i bardziej ujednolicone. Brak spójni treściowej odbił się i na ilustracjach, gdyż niektóre są niepotrzebnie powtórzone; sam materjał ilustracyjny jest jednak i obfity i bardzo ciekawy. (J. B.)

*

Dr. Juljan Maliniak „Tytoń w Dawnej Polsce“, Drzeworytami ozdobił Stanisław O. Chrostowski (Wyd. księg. M. Arcta w Warszawie). Dzieje zwyczaju palenia tytoniu przedstawił p. Maliniak w rozdziałach: Wprowadzenie tytoniu do Polski i pierwsze o nim druki, Opodatkowanie tytoniu w siedemnastym wieku w Koronie i Litwie, Produkcja tytoniu i zużywanie tabaki. Tematy te rozpatrzył wszechstronnie, na podłożu źródeł ustawodawczych, rachunków skarbowych, rozpraw historycznych i obyczajowych, pism perjodycznych, listów, pamiętników, legend, zapisków bibljograficznych i pomników słownictwa, aż po epokę romantyzmu. Nałóg palenia tytoniu rozpowszechnił się u Turków, Tatarów, na Kozaczyźnie, następnie w Polsce. Materjał przedmiotu ogromny, interesują wzmianki o losach tego narkotyku w minionych wiekach zagranicą i u nas, o zakazach papieża i cara, momentach przyjacielskiego daru tej rośliny, przysłanej przez sułtana królowi Stefanowi Batoremu, planowo i przejrzyście podane uchwały sejmu i postanowienia komisyj rejonowych, przepisy celne, uniwersał podskarbiego o próbach wprowadzenia monopolu i taks sprzedażnych. Tabakę zażywano celem pobudzenia kichania, jako lekarstwo. Zmieniała się moda na różne rodzaje tabak i tabakierek. Wiadomości o tem nawiązuje autor do wywodów etymologicznych słowa tureckiego „tiutiuń“, w dosłownie znaczy dym, jak i pochodzenia tatarskich słów: cybuch, antypka i wiśnia. Dowóz z zagranicy wpływał na stosunki handlowe i spowodował zawarcie układu między Polską a Portą Otomańską, i konwencji między Anglją a Gdańskiem. Uprawa rośliny tytoniu, pierwsze plantacje, wreszcie w osiemnastem stuleciu zapoczątkowanie uprawy i sprzedaży we własnym zarządzie państwa opowiedziane treściwie i ciekawie. Rozmiłowanie autora w literaturze staropolskiej przejawiło się staranną, soczystą polszczyzną, obok cytat z utworów dawnych poetów i prozaików, co nadało tej osobliwej kronice dziejów tytoni pełną wdzięku patynę starego druku. Wrażenia dopełniają pięknie i artystycznie przemyślane drzeworyty Stanisława O. Chrostowskiego, ozdabiające książkę. (A. W.)

*

Ukazał się pierwszy tom bardzo pożytecznego wydawnictwa, noszącego tytuł „Encyklopedja przemysłu i handlu wełnianego“, napisanej przez Stefana Katelbacha, nakładem Instytutu szerzenia praktycznej wiedzy przemysłowej. Tom ten zawiera charakterystykę hodowli owiec

w przeszłości i obecnie w różnych krajach: w Polsce oraz handlu wełną. Autor przypomina świetną przeszłość hodowli owiec i dzisiejszy jej smutny stan oraz podnosi konieczność podniesienia hodowli owiec w Polsce tak, by zaspakajała ona zapotrzebowanie krajowe wełny, tudzież konieczność zorganizowania handlu wełną w Polsce. (J. P.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Henri Bordeaux w książce *„Amitiés Etrangères"* (Plon 1933 r. str. 345) zebrał szereg wspomnień z wędrówek swoich po Europie, przed i po wielkiej wojnie. Są tu zanotowane rozmowy z wieloma wybitnemi jednostkami, z jakiemi autor miał sposobność się zetknąć; są także rozważania nad palącemi zagadnieniami chwili bieżącej i t. p. Mówiąc o ludziach i sprawach Włoch dzisiejszych autor przytacza parę ciekawych szczegółów z długiej rozmowy, jaką miał z Mussolinim, który między innemi poruszył sprawę ewentualnego przyłączenia Austrji do Niemiec. Gdyby to się stało, wówczas, zdaniem Mussoliniego, interesy Włoch i Francji byłyby wspólne. Kładąc nacisk na tę wspólność, Mussolini dorzucił: „Francuz i Włoch rozumieją się bez wysiłku. Trzeba innej zupełnie woli po to, żeby Włoch mówił tym samym językiem, co Anglik, a tembardziej — co Niemiec". Rozwijając lepiej swą myśl, Mussolini, powiada Bordeaux, oświadczył: „Co się tyczy Niemców, to wojna niczego ich nie nauczyła". Mówiąc o zmianach, jakie zaszły ostatniemi czasy na półwyspie, autor powiada: Wielkie dzieło Mussoliniego nie jest dziełem politycznem, ani ekonomicznem. Jego wielkiem dziełem jest przywrócenie Włochom sumienności zawodowej, tej sumienności, która się zatraca wszędzie po trochu, a która jest podstawą wszelkiej mocy i wszelkiej pomyślności narodowej".

Końcowy rozdział książki poświęca autor swemu spotkaniu nad brzegiem Lago Maggiore z Emilem Ludwig'em, z którym tak rozmawia, jakby miał przed sobą najbardziej reprezentatywnego Niemca. Uprzejmy Akademik traktuje tu nieco za serjo bezwstydnego reklamiarza. (W. J.)

*

André Maurois wydał świeżo książkę p. t.: *„Edouard VII et son temps"*, w której daje szeroki i żywy obraz Anglji w przededniu wojny i mówi o roli, jaką król Edward VII odgrywał we własnym kraju oraz w całym świecie. Z ostatnich wydawnictw francuskich zwrócić należy uwagę na książkę braci Tharaud, znanych badaczy dziejów żydostwa, p. t.: *„Quand Israël n'est plus Roi"* („Gdy Izrael nie jest już królem"), w której mowa, między innemi, o antysemityzmie w Niemczech i jego przyczynach. W kolekcji „Zagadek Historji" (*„Les Enigmes de l'Histoire"*) wyszła książka znanego historyka literatury, Wiktora Giraud, poświęcona tragicznemu życiu Lamennais'ego (*„La vie tragique de Lamennais"*), w której autor przedstawia agonję duszy, po zerwaniu z Kościołem, jednego z najwybitniejszych umysłów i pisarzy religijnych Francji z epoki romantyzmu.

Ferdynand Bac, autor wielu książek, dotyczących drugiego cesarstwa i wogóle rodziny Bonapartów, napisał ostatnio ciekawą i oryginalną książkę, poświęconą Italji nowej (*„Promenades dans L'Italie Nouvelle. Rome"*), w której stara się dotrzeć do tajemnicy równowagi pomiędzy przeszłością a nowemi czasami — Włoch dzisiejszych. (W. J.)

•

Modna jest dziś wiedza o konjunkturze gospodarczej, wśród bardzo licznej na ten temat literatury zanotować wypada książkę d-ra Ericha Curella p. t. *„Konjunktur. Umriss einer Theorie der Konjunkturbewegungen auf Grudlage der Erfuhrung"* (Jena. Gustaw Fischer 1932 r. s. 104). (J. P.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

NABYCIE dzieła sztuki świadczy oczywiście nietylko o tem, że nabywca miał pieniądze: mówi przedewszystkiem o jego upodobaniach. Powodów powstrzymania się od kupna nie można sobie już tak łatwo wytłumaczyć: nie zawsze wiemy wtenczas, czy obraz się nie podobał, czy też poprostu reflektujący nań nie posiadał dostatecznej kwoty. Dlatego to drugie, negatywne stanowisko nabywcy-odbiorcy zawsze interesowało więcej, raz ze względów materjalnych, bezpośrednio dotyczących artystów, po drugie z powodów natury głębszej. Życie sygnalizuje nam fakt: dzieła sztuki nie znajdują nabywców; gdzie szukać wytłumaczenia tego zjawiska: w kryzysie kultury odbiorców sztuki w kryzysie samej sztuki, czy też w kryzysie ekonomicznym? Dziś, gdy przeżywamy kryzys ekonomiczny, gdy często i nie bez podstaw można mówić o kryzysie kultury i sztuki, zagadnienie to szczególnie staje się aktualne, jest przedmiotem licznych debat, narad i rozmów sfer interesujących się sztuką, oraz tematem wielu odczytów publicznych.

Ze strony publiczności, występującej w roli odbiorców, słyszymy o braku gotówki, lub o drożyźnie dzieł z tego powodu niedostępnych. Spotykamy się także nieraz z twierdzeniem, że dzieła sztuki nie stoją na odpowiednim poziomie, lecz oczywiście ten argument tylko w pewnych wypadkach może być usprawiedliwieniem.

Sfery artystyczne natomiast, nie lekceważąc sobie skutków kryzysu, skłonne są jednak upatrywać przyczyny małego popytu w niedostatecznie rozwiniętej kulturze plastycznej społeczeństwa, nie wspominając oczywiście o własnych grzechach (jeśli takie istnieją).

Ciekawą próbą rozsupłania tego węzła gordyjskiego była impreza, zorganizowana przez pismo codzienne „ABC" na tle wystawy drzeworytów. Pomysł powstał z dyspoty, jaka się wywiązała na łamach tego pisma między mną, a redaktorem działu „Nauki i Sztuki" p. Stanisławem Piaseckim. Redaktor był optymistą i twierdził, że tylko wysokie ceny są powodem znikomego zbytu drzeworytów polskich artystów: „zniżcie ceny, a będziecie mieli wielu nabywców" — tak brzmiała konkluzja jego artykułu.

Zaproponowałem próbę. Targ w targ, słowo w słowo, stanęło na układzie, który głosił: graficy, zgrupowani w stowarzyszeniu „Ryt" zgłaszają gotowość sprzedania wybranego drzeworytu w cenie od 6 — 10 zł. (zamiast 50 — 20 zł.), z tym jednak warunkiem, że każdy musi znaleść conajmniej 20 nabywców (zasada kalkulacji handlowej: szeroki zbyt pozwala na obniżenie ceny). Ogłoszono subskrypcję na drzeworyty, która dała wyniki wprost nieoczekiwane. Zamiast spodziewanych, w pomyślnym wypadku, 200 drzeworytów sprzedanych (10 artystów — po 20 drzew. każdego), nabyto rycin przeszło półtora tysiąca! Te wyniki nieprzewidziane, poza stwierdzeniem odniesionej z nich korzyści materjalnej artystów i głębokiej satysfakcji moralnej, zniewalają do zastanowienia się nad każdym szczegółem tego zjawiska. Napozór sprawa jest prosta i jasna: zniżone ceny i „grafika poszła jak lód"; a więc tylko kryzys ekonomiczny przyczyną, zniżenie cen—to wyjście z sytuacji.

Przyjrzyjmy się jednak uważniej całej imprezie, to zobaczymy, że nie wszystko w niej da się tak łatwo wytłumaczyć. Rycina jednego z grafików, obniżona w cenie do 15 zł na wystawie, została tam sprzedana tylko 3 razy. Ta sama rycina w subskrypcji, po 10 zł., znalazła 300 nabywców! Czy sprawiła to różnica ceny (5 zł.)? Nie, bo w subskrypcji w „ABC" poszły przedewszystkiem ryciny droższe, po 10 zł. Z tego widać, iż dla nabywcy, przy niskiej cenie sprzedażnej, 6 — 10 zł., różnica 4 zł. nie gra już roli. Skok z 3-ch na 300 egzemplarzy był spowodowany rozgłoszeniem akcji drzeworytników w piśmie i tu trzeba zdać sobie sprawę z możliwości, jakiemi rozporządza prasa. Pozbawieni jej pomocy artyści nigdy prawdopodobnie nie uzys-

kaliby takich sukcesów, nawet przy najlepszej woli, co do zniżki cen, ze swej strony. Wina więc niezupełnie leżała po stronie artystów, gdyż sami, nawet przy dobrych chęciach, złu zaradzić nie mogli.

To jedna strona zagadnienia — materjalna. Przypatrzmy się innym. Z 10 rycin dziesięciu grafików, biorących udział w subskrypcji, pewne znalazły po 300 nabywców, inne tylko 20 lub 20-tu kilku. Czy tę, tak znaczną rozpiętość, można wytłumaczyć różnicą poziomu artystycznego drzeworytów? Coprawda zgłosili ryciny graficy o różnej skali talentów, ale i najsłabsza z nich stała na takim poziomie, że, w stosunku do swojej ceny, mogła cieszyć się jaknajwiększem i zasłużonem powodzeniem. Zresztą przegląd rycin i sprawdzenie ilości nabywców każdej, wykazują, iż jakość jej nie stoi w żadnym proporcjonalnym stosunku do liczby amatorów, jaką znalazła. Subskrybenci drzeworytów także w nieznacznym tylko stopniu ulegali suggestji nazwiska, co, mojem zdaniem, jest rysem dodatnim, gdyż świadczy o samodzielności sądu.

Nie kierując się przeważnie przy wyborze drzeworytu nazwiskiem autora ryciny, do pewnego tylko stopnia oceniające jej walory artystyczne, szeroki ogół nabywców wybierał przedewszystkiem to, co go zainteresowało tematem. Nie należy zaraz myśleć o literaturze, ani o tematach t. zw. milusich. Pod tym względem, pesymistyczne proroctwa co do gustu publiczności, na szczęście, sprawdzały się dość rzadko.

Doceniając w pełni ten objaw, nie trzeba jednocześnie zamykać oczu na niebezpieczeństwo, wypływające z uważania tematu za kryterjum artystyczne. Dobrze jeszcze, gdy temat podoba się nabywcy w dziele tęgiem graficznie, wtenczas jedno z drugiem się pokrywa, ale często przecież może być odwrotnie! W tym wyścigu powodzenia u publiczności, zorganizowanym przez „ABC”, na pierwszych miejscach znaleźli się nieraz artyści na to wpełni zasługujący, często jednak liczba głosów „wyborczych”, oddanych na grafika, świadczyła wręcz fałszywie o jego zasługach przed innymi. W ten spób mimowoli wytwarza się fałszywa hierarchja, a suggerowanie jej szerokiemu ogółowi, jako prawdziwej, wyrządza szkodę sprawom sztuki. Supremacja tematu może się okazać tak samo niebezpieczną, jak dziś, z drugiej strony, jest szkodliwe niedocenianie jego przez artystów.

Podniosłem jako objaw dodatni u subskrybentów nieuleganie suggestji nazwisk. Poddali się zato nabywcy suggestji innej. Gdy drzeworyt jakiegoś grafika znalazł już przeszło stu amatorów, to dalsza nadwyżka szła w szybkiem tempie, niejeden z następnych nabywców kierował się taką argumentacją: „skoro tyle osób kupuje ten obrazek, to znaczy, że jest najlepszy, więc i ja go kupię”. Sąd własny zastępował opinją ogółu. W kartotece artysty taki wielbiciel jego prac jest pozycją conajmniej chwiejną.

Wskazałem na cienie tego jasnego obrazu jedynej w swoim rodzaju imprezy. W skali nabrała ona charakteru akcji społeczno-kulturalnej Jeśli się powtórzy, obowiązkiem artysty, biorącego w niej udział, będzie: nietylko dbać o interes własny, ale też, regulując nurt powszechnego zapału (co leży poczęści w jego mocy), wychować w rozumny sposób kulturalnego odbiorcę dzieł sztuki.

WIKTOR PODOSKI

FILM

CASINO: „Przybłęda“ reż Nowina-Przybylski.

Bardzo to ładnie ze strony pana Przybylskiego, że „poszedł w lud“ i zachęcony powiedzeniem „poznaj swój kraj“ począł filmować Huculszczyznę. Szkoda tylko, że zabrał z sobą aktorów. Ci poprzebierali się pięknie za huculów, wyzbyli się zwykłego stroju, ale pozostali w tej samej skórze. Pozostali aktorami i używając znanych sposób i sposobików wygrywali chłopa na kilka znanych tonów. Te zgrywanie się „na chłopa“ jest właśnie w całym filmie najbardziej drażniące. Zresztą właściwie nie aktor zawinił. Ostatecznie pogrążył biedaka scenarjusz, s t a w i a j ą c g o w s y t u a c j e p r z e w a ż n i e n i c n i e m a j ą c e w s p ó l n e g o z ż y c i e m c h ł o p s k i e m.

Scenarjusze są u nas zwykle pobieżnym szkicem jakiejś fabuły, która się zadowala nicią t. zw. intrygi miłosnej. Aktor zaś powinien mieć oznaczone, co ma r o b i ć, krok za krokiem. Robić, ruszać się, działać, do djabła! a nietylko mówić, lub stroić miny. Tak jak sprawa dziś stoi, aktor musi nadrabiać grą, by maskować, a raczej czemś ostatecznie zapełniać nicość treści fabularnej. Trzeba było pokazać na ekranie czynne życie, a nie jakąś romansową bajdę. W tym wypadku życie chłopskie, obyczaj, pracę, zabawę. Stroje, kilka ładnych widoczków z okolic Żabiego, parę hopsaków, przy dźwiękach ludowej kapeli, to zamało. Aktor dyszy namiętnym szeptem. „Miłujesz mnie?“ zamiast: kochasz; krzyczy: „wnet do wójta!“ zamiast mówić normalnie, po ludzku. Po tem mamy poznawać chłopa. Przypominają się powiastki, w których damy wysławiają się w ten deseń, np. „Mój kmiotku“. albo: „mój dobry człowiecze“.

Jeśli chodzi o scenarjusz, już punkt wyjścia był fałszywy, z niego rodzą się dalsze nieprawdopodobieństwa. W jednej z chat, odtwarzanej huculskiej wsi, mieszka b. ładna platynowa blondyneczka (Ina Benita). Skąd się tam wzięła, nikt nie wie i reżyser też. Więc nazwijmy ją „Przybłędą“. A że biedaczka nic nie ma do roboty, niech uwodzi chłopów, ku utrapieniu bab. Conajwyżej może też, od czasu do czasu, prać bieliznę w potoku, bo ma ładne nogi do pokazania. U niej właśnie ukrywa się amant (Zb. Staniewicz), zamieszany w karczemną zwadę, która skończyła się śmiercią jednego z huculów. Jakoś nikt go nie może znaleźć, choć dziewczyna, jego opiekunka, jest na oku całej wsi, a za znalezienie mimowolnego zabójcy wyznaczono nagrodę.

Te wszystkie niedociągnięcia byłyby jednak do zniesienia, przy innem, niż tu, poważnie prawdziwem, odtworzeniu środowiska. Na tle tych maskaradowych chłopów, wraz z platynową przybłędą, jedyną inteligentnie zrobioną postacią jest wiejski... idjota (Sielański). Gdy pod koniec film poczyna nabierać rumieńców życia, gdy na ekran wdziera się żywioł ludzki i wodny (powódź), ruch, hałas, harmider, wtenczas, na tem tle podskakiwania, bełkot i krzyki idjoty przenoszą film z powszedniości w dziedzinę prawdziwego, artystycznego zdarzenia i nadają mu wyraz, który jest życiem sztuki.

Ilustracja muzyczna Maklakiewicza stosowana w zanikający już dziś sposób: zdobienia melodją i tych momentów, gdzie wystarczą zupełnie same efekty szmerowo-dźwiękowe. Scena ścinania drzew w lesie, wraz z rytmem pieśni, żywcem ściągnięta z filmów sowieckich.

Montaż nie zawiera rażących usterek.

MAJESTIC: „Wielka grzesznica“ film amerykański.

Trzeba przyznać, że system sowiecki, głoszący nieraz wrogie ustosunkowanie się do rodziny, w filmach u siebie stworzonych, ze wszystkich rodzajów miłości, opiewał właśnie najczęściej miłość rodzicielską, zwłaszcza miłość matki, a pogardliwie i wyraźnie nieprzychylnie się odnosił do miłości — romansu. W „burżuazyjnym“ filmie amerykańskim— odwrotnie. Jeśli już na pierwszy plan, jako bohaterkę wzruszającej opowieści, wysuwano matkę, to niemal zawsze jest to śliczne, niewinne, opuszczone, lub uwiedzione stworzenie. Bobas oczywiście rozkoszny; mateczka nie może znaleźć posady, wszyscy czyhają na jej cnotę i t. d.

Od tego szablonu nie odbiega zasadniczo i film „Wielka grzesznica“ (nazwa na wabia, wykombinowana przez biuro filmowe, lub dyrekcję kina). Starą historyjkę odświeża pomysłowo motyw radja, nadający wielu scenom znacznie głębszy, niż tu się zaakcentowało, sens. Po zrzeczeniu się praw do dziecka i oddaniu go do przytułku z powodu nędzy, matka, już jako znana i bogata śpiewaczka kabaretowa, przemawia stale w radjo, w kąciku dla dzieci. Przemawia w nadziei, że

może jej własne, stracone dziecko także ją słyszy. Przemawia co wieczór do wszystkich małych Sally, a właściwie do jednej tylko, nieznanej i najbliższej.

W roli matki-śpiewaczki — Claudette Colbert. Reżyserja na poziomie.

KANDYD

MUZYKA

KONSERWATORJUM. — Pannę Ninę Stokowską słuchaliśmy jeszcze niedawno na koncertach Wyższej Szkoły Muzycznej im. Chopina, której jest wychowanką. Uchodziła wówczas za dobrze zapowiadającą się skrzypaczkę.

W środę, 22 listopada usłyszeliśmy ją w sali Konserwatorjum. Grała sonaty Veraciniego, Beethovena, Débussy'ego, Francka. Widać, że stosunek do sztuki poważny.

Nie tylko z tego — świadczy o tem również technika, którą p. Stokowska posiada, ale jeszcze nie rozporządza. Bo też trzeba przyznać, że zadanie zobrazowania czterech tak różnych indywidualności w jednej i tej samej formie — sonaty, nie należy do łatwych, przykładem chociażby Veracini z jego klasyczną poprawnością, a jednocześnie charakterystyczną głębią.

Lepiej już wypadł Débussy i Franck, a (odegrane na *bis*) *allegro* i *adagio* z sonaty Händla świadczyło, że artystkę stać na większe możliwości, aniżeli na te, które nam na początku koncertu ukazała. Podkreślam n a p o c z ą t k u. Jaki stąd wniosek? — Taki, że p. Stokowskiej brak przedewszystkiem tego, co nazwę poprostu „otrzaskaniem" z estradą. (Nie użyję określenia „rutyny", gdyż samo jej posiadanie jest dyskwalifikacją).

Wobec czego czekamy dalszych występów.

*

Chór chłopców i chór męski katedry poznańskiej wypełnił sto szesnastą audycję Stowarzyszenia Miłośników Dawnej Muzyki w niedzielę, 26 listopada.

Poziom wykonia bardzo wysoki, a zadanie przecież jedno z najtrudniejszych. Tylko znajomość stylu wokalnego z okresu, gdyś piew kościelny, zbogacony zdobyczami polifonicznemi, dochodzi w swej naprawdę kunsztownej architektonice do szczytów wirtuozostwa, znajomość ówczesnej harmonji, ciekawie wyrosłej z kontrapunktu, i tych wszystkich pierwiastków, które złożyły się na to, co nazywamy kościelnym stylem muzycznym, dać może miarę trudności, które trzeba było pokonać.

To też niewiadomo, czy pierwszeństwo oddać pracy kierownika chóru, księdza doktora Gieburowskiego, czy jego dużej wiedzy, kulturze, czy inicjatywie; to pewna, że przedewszystkiem prawdziwej i rzetelnej zasłudze.

W programie audycji umieszczono przy imionach kompozytorów, których utwory były wykonywane, nazwy szkół, które mieli reprezentować. I tak Antoine'a de Févin zaliczono do francuskiej, a Vittoria do hiszpańskiej. Dlaczego? — Kwestją jest, czy sama jedynie narodowość twórcy jest kwalifikacją wystarczającą do zaliczenia go w poczet wyrazicieli szkoły, narodowej. Mam wrażenie, że nastąpiło tu pomieszanie pojęć. Co innego jest narodowość artysty, co innego szkoła do której należy. Antoine de Févin np. reprezentuje raczej flamandzką, a Vittorio, pozostający wyraźnie pod wpływami Palestriny — rzymską.

Badanie wpływów szkół na indywidualność narodową i odwrotnie, dociekanie, jak się ta indywidualność przebija, gdzie tak dalece panuje, że możemy mówić o szkole narodowej, przejaw jej pierwiastków w takiej muzyce jak kościelna, która już nawet nie przez obowiązujące zasady i przepisy muzyczne wyraźnie określone, ale przez swoją powszechność, zdawałoby się, powinna całkowicie zatrzeć wszelką odrębność, doprowadza do szeregu ciekawych wniosków, przerastającego ramy niniejszego szkicu.

Koncert niedzielny przywiódł na myśl i inne zagadnienie — stylu kościelnego. Nowa kwestja, czy przez ochronę przed wpływami i przez dbałość o nieskażenie formy nie doprowadza się go do skostnienia, a nawet wynaturzenia?

Przedewszystkiem ustalmy, czy pod słowem s t y l rozumiemy pewien charakter, czy manjerę. Poczem sprawa jest już jasna: z wszelką manjerą trzeba walczyć, natomiast baczyć pilnie o zachowanie charakteru.

To proste ujęcie komplikuje trudność określenia granicy. Czem były usiłowania soboru trydenckiego, które w imię oczyszczenia stylu kościelnego z „naleciałości świeckich" sprowadzić go chciały z powrotem do zasad chorału gregorjańskiego?—Niewątpliwie intencją tu była obrona charakteru, bardzo głęboko przemyślana, chociaż pozory zdają się mówić o czem innem.

Uznanie twórczości Palestriny za wzór, dowód żywotności, miało również i zarodki niebezpieczeństwa, tkwiące w każdem naśladownictwie. Śpiewano w niedzielę mistrzów polskich, śpiewano wspaniałe „*Exultate Deo*" Scarlattiego. Czyż nie było tam pierwiastków pozakościelnych? A przecież wzbogaciły one tylko i tak już przebogatą sztukę Kościoła. Bo nie formy broniono w Trydencie, ale ducha niereligijnego, którego niósł renesans.

Z tego trzeba sobie zdawać sprawę. Dzisiaj i zawsze.

Audycja niedzielna zawierała i utwory organowe. Pan Józef Pawlak wykonał dwa chorały Bacha, *toccatę* i *fugę C* oraz Maxa Regera *toccatę* i *fugę D*. Mimo iż tego ostatniego trudno jest zaliczyć do dawnych kompozytorów, umieszczenie go w programie nie wypaczało zupełnie linji wieczoru.

W. NARUSZ

NOWE KSIĄŻKI

C h r z a n o w s k a - L a u d y n S t e f a n j a. Prawo powszechności. Dług jednostki. Zakopane 1933. Nakładem autorki. S. 285.

Ł a k o m y L u d w i k. Prawda o Hitlerze i o żydach. Mikołów 1933. K. Miarka. S. 118.

T y s k i Z y g m u n t. Pegazowe zołzy. (Poezje). Warsz. 1933. Dom Książki Polskiej.

A t e n e u m K a p ł a ń s k i e. Włocławek 1933. Zesz. 3

Księgarnia F. Hoesicka w Warszawie wydała z datą 1933 roku:

Q u i e t a M a r j a. Nowa legenda o tem co być mogło, a może i było.

K u r e k J a l u. *Mohigangas.* (Poezje).

V o l p e G i o a c c h i n o. Rozwój historyczny faszyzmu. Str. 85.

G e n t i l e G i o v a n n i. Źródła i doktryna faszyzmu. Str. 63.

G é r a l d y P a u l. Preludjum miłosne. Romans.

S p a s o w s k i W ł a d y s ł a w dr. Wyzwolenie człowieka w świetle filozofji, socjologji pracy i wychowania ludzkości. Str. XV i 573.

C h o y n o w s k i P i o t r. W młodych oczach. Powieść. Warsz. 1933. Gebethner i Wolff.

Ż y c i e g o s p o d a r c z e a ekonomja społeczna. Księga zbiorowa. Redaktor Leopold Caro. Lwów 1933. Skład główny w Domu Książki Polskiej. S. 531.

Z a k l i k a W a l e r j a n Bilans obrotów gotówkowych rolnictwa polskiego. Cyfry i wnioski. Lwów 1933. Biblj. Pol. Tow. Ekon., IV. S. 96.

P r z e g l ą d W s p ó ł c z e s n y, paźdz. 1933.

G o d l e w s k i F r a n c i s z e k. Pani Orzeszkowa. (Wspomnienia) Z ilustr. Warsz. 1934. Dom Ks. Pol. S. 71.

K o r w i n T a d e u s z dr. Podstawy ustrojowe Związku Sowieckiego. Studjum polityczno-prawne. Warsz. 1933. F .Hoesick. S. 268.

F o r s t - B a t t a g l i a O t t o. Współczesna proza niemiecka. Przekład E. Gałuszkowej. Bibl. Gazety Literackiej, IX. Kraków 1933. S. 30.

Z a k r z e w s k a H e l e n a. Białe róże. Powieść dla młodzieży. Wyd. N. Warsz. 1934. Dom Książki Pol.

M a z i a r s k i S t a n i s ł a w, rektor uniw. Jagiel. Przemówienie na inauguracji roku akad. 1933-34 w dn. 9. X. 1933. Kraków 1933, S. 12.

W o j c i e c h o w s k i Z y g. Rozwój terytorjalny Prus w stosunku do ziem macierzystych Polski. Toruń 1933. Wyd. Inst. Bałtyckiego, S. 48.

K u l t u r a i w y c h o w a n i e. Warsz. 1933. Zesz. 1.

K u r e k J a l u. Usta na pomoc (Poezje) Warszawa. F. Hoesick.

S i n k o K r y s t y n a. Santi Gucci Fiorentino i jego szkoła. Bibl. hist. sztuki, 3. Kraków 1933. Wyd. Związku kół historyków sztuki stud. uniw. S. 82 i 16 tabl.

G ą s i o r o w s k i W a c ł a w. Nihiliści. Powieść hist. Warsz. 1933. Dom Ks. Pol.

F l i s Ł u k a s z. Drzwi uchylone. (Poezje) Warsz. 1933. F. Hoesick.

E R R A T A:

W art. „Kartki z podróży" p. K. M. Morawskiego, zamieszczonym w 50 numerze „Myśli Narodowej", należy poczynić następujące poprawki:

Str. 755, szpalta 2, al. 2; w. 5: zamiast *fasscish* ma być: *fascista*, w. 6: zamiast: „*gloiros de l'Italiei*" ma być: „*gloires de l'Italie*".

Str. 756, al. 1, w. 4, szpalta 1: zamiast „Belonji" i „Gialio" ma być: „Bolonji" i „Giulia", szpalta 2, al. 1, w. 4: zamiast „Chclosa" ma być „Chiesa".

OFENSYWA

A TO PADLEC!

WŚRÓD tych pisarzy i publicystów, którzy albo musieli opuścić Niemcy albo własnowolnie pouciekali, jest kilku, względnie kilkunastu takich, dla których ciężkiej i cierpkiej niedoli można mieć pełne współczucie, jak miało się zawsze wielki dla ich pracy szacunek. Do takich należą starzy bojownicy: W. F. Foerster, von Gerlach, Breitscheid (dziś w Szwajcarji), Hilferding (Wiedeń), Stampfer, redaktor „*Vorwärts*'u" (w Szwajcarji); z beletrystów Tomasz Mann, już znacznie mniej Henryk Mann lub Klaus Mann (syn Tomasza), a już całkiem mniej... Wassermann. Można współczuć także takiemu Ossietzky'emu, redaktorowi ultraradykalnej „*Weltbühne*". Żałować przyjdzie także Renna, b. oficera ze szlachetnej rodziny von Gneisenau (wpakowali go do twierdzy).

Innych przepędzeńców niema czego żałować, a wprost przeciwnie, można Niemcom pogratulować, że się p i e r w s z e w Europie takiej zwyrodniałej Elity z asfaltów, śmietników i rynsztoków szybko a przykładnie pozbyły. Czy zasię i jaką to szumowiną była ta intelektualna „elita", o tem można nabrać pewnego wyobrażenia z literatury starego Adolfa Bartelsa, z krytycznej syntezy *Ottockara Stauf von March* i z surowych dekapitulacji, dokonanych przez kilku krytyków prozapji semickiej jako to: Emanuela Ben Goriona „*Ceterum recenseo*" (1932, 2 tomy. *Morgerland Verlag*), z dwóch książek „Mynony" (pseud. Salomona Friedländera), oraz znanego i u nas pracowitego encyklopedysty, Lwowianina, Ottona Forst (Battaglia) „*Der Kampf mit den Drachen*". Uzupełnić sobie obraz jeszcze można apologją „żydów w literaturze" pióra St. Zweiga („Caliban") i nieco starszem potępieniem „żydostwa w literaturze" pióra słynnego niemiecko-żydowskiego filozofa Constantina Brunnera („*Judenhass und die Juden*"). Jeden z przywódców narodowych-żydów (*Nationaljuden*) niemieckich, znany z prasy dr. Nauman głównie destruktywnej literaturze i nihilistycznym pisarzom żydowskim przypisuje los, ktory teraz spotkał tam to całe, pozornie tak stuprocentowo zasymilowane, burżujskie, produktywne, spokojnie sobie... pasożytujące żydostwo.

„Było bezmyślnością i nieudolnością, gdy się tolerowało wyczyny literatów i artystów w imię t. zw. „wolności sztuki". Było też głupotą i słabością zarazem, gdy się tolerowało ruch ateistyczny i często wbrew wewnętrznemu uczuciu i przekonaniu zaliczało go do stronnictw, które w ciągu nieszczęsnych 14 lat burzyły wszelką tradycję, w pierwszym zaś rzędzie niemieckość".

Tak samo rolę semitów w literaturze niemieckiej definjuje w angielskim miesięczniku „*New English Weekly*" Rolf Gardiner jako elementu przeważnie „rozsadzającego" i „zgubnego":

„— Zalewając zawody takie, jak dziennikarstwo, prawo, sztuka i polityka, żydzi wprowadzili podniecenie do życia niemieckiego. Ze swoją skłonnością do sensacji i analizy, stali się oni wiecznymi agitatorami i teoretykami społeczeństwa niemieckiego. Od nich wychodziły pomysłowe sztuki sceniczne i kultura jazzbandu. Byli oni jednocześnie idealistami i cynikami polityki niemieckiej. Lecz bardzo często nie byli oni europejczykami. Niemieckie pojęcie kultury jest odmienne od żydowskiego. Żydzi są intelektualistami, analitykami, indywidualistami. Niemcy reprezentują skłonność do strony duchowej, mistycyzmu i religji".

To samo, niejako całkiem po Weysenhoffowemu („Cudno i Ziemia Cudeńska") pisał w lipcowym numerze „*Fortnightly Reviev*" Horsfall Carter.

Teraz to całe bractwo rozwielmożnionych w Berlinie megalomanów, pachciarzy kultury i postępu siedzi na dobrze zasłużonej banicji, dzień i noc babrząc denuncjańskie paszkwile na swoje Niemcy. Wydają sobie takie literackie pisemka i sami to sobie czytają wzajemnie. W Pradze wychodzą, zdaje się, dwa: „*Neue Deutsche Blätter*" i „*Die Wahrheit*", w Amsterdamie miesięcznik „*Die Sammlung*", „*Das Neue Tagebuch*" w Paryżu, w Saarbrücken „*Deutsche Freiheit*" i jeszcze moc innych efemeryd.

Otóż w któremś z tych piśmidełek komunizujących wątrobiarzy ukazał się podobno list publiczny do Gerharta Hauptmanna od niejakiego Alfreda Kerra. Nie jest to pierwszy, gdyż był już taki „list otwarty" innego takiego, niejakiego Grossmana.

Ten „list" teraz przypadł na moment, kiedy 88 czołowych pisarzy niemieckich, obserwując z bólem patrjotycznym czasową „izolację" Niemiec, zorganizowaną przez całą światową pan-masonerję, ogłosiło swój akces do hitleryzmu. Tak samo i my postąpilibyśmy, gdyby nasze państwo znalazło się w niebezpieczeństwie i w izolacji. Wśród nazwisk były takie, jak Stefan George i Herman Stehr (kandydat do Nobla), Rudolf Huch, Richard Schaukal, Kayserling, Sieburg, ekskomunista Gottfried Benn, ekskomunista Lampel, żyd Borcard, tłumacz Dantego, poeta Münchhausen, wszystko dla nas przeważnie *nomina ignota* bo przez „*eiruw*", odrutowanie żydowskie nie przepuszczone. Mniejwięcej w tym samym czasie w liście do berlińskiego „*Fischer-Verlag*'u" zrzekli się też swego solidaryzowania ze zdradzającymi Niemcy żydami ze „*Sammlung*'u", „*Deutsche Freiheit*" i t. p.: Alfred Doeblin, Arnold Zweig i... Tomasz Mann. A również i Stefan Zweig znów w liście do berlińskiego „*Insel - Verlag*'u" odciął się całkiem demonstracyjnie od Judaszów i Azefów *à la* Feuchtwanger, Emil Ludwig, Bernhardt (dostawca dokumentów dla „*Petit Pharisien*"), Kischów, Holitscherów i t. p. I otóż to właśnie, ten powrót Niemców do Niemców rozwścieczył pewnego obskurnego parszywca, piszącego pod pseud. Kerr, a wabiącego się Kempner. Ponieważ na czele pisarzy solidaryzujących się z ojczyzną swoją i podtrzymujących moralnie jej przyciemnioną opinję i zwątlony autorytet w świecie stanął Gerhart Hauptmann, przeto plugawiec takowy z wygodnej swej banicji paryskiej żygnął kalumnjami na Hauptmanna.

Kto zacz siedemdziesięcioletni poeta i dramaturg, przypominać nie trzeba: „Tkacze", „Dzwon zatopiony", „Hanusia", „Przed wschodem słońca", „Woźnica Henschel", „Pippa tańczy", „Przed zachodem słońca" i cały szereg dzieł innych. Poeta otoczony szacunkiem i mirem całego swego narodu i całej cywilizowanej ludzkości; już atoli od kilku czy kilkunastu lat na czarnej liście anonimowego mocarstwa, komunizującej *bagage* pisarskiej i rojowisk szajgeców, szejngajstów perwers - jonistycznych. Pani Krzywicka i pani Apenszlak też o nim jużby nawet słuchać nie chciały: passeizm...

Po drugiej stronie barykady naprzeciw Hauptmanna stanął tedy obskurny, błazeńsko ucharakteryzowany berliński brukowy recenzencina, bluffista głębi, pyrotechnik stylowy, szmoncesowaty blagier, *geist - reich - man*, tyran teatrów, debiutantów i krowient, rozpanoszony swego czasu w sparszywiałym Berlinie, dłubiący w zębach na premjerach, *aryspärch*, arogant, wtrącający się nahalnie i w politykę, odbierający nam Pomorze...

Tchórz ten nikczemny uciekł z Berlina (z „oszczednościami") jeden z pierwszych i choć w Berlinie był „kajzerpatrjotą" w Paryżu jeden z pierwszych poszedł Kartagińczykom po redakcjach zdradzać i denuncjować, co tam tylko kiedy wiedział i wywęszył...

I ten to podlec, padlec *in summo gradu* (typu Józef Flawjusz—Azew—Trocki) zapieniony, zaharkany, krztuszący się i toczący pianę z pyska, rzuca się teraz na 70-letniego, Goethoskiego poetę!!

Zarzuca mu, zarzuca mu... Kerr!... tchórzostwo..., zarzuca mu... chciwość na pieniądze... zarzuca mu pijaństwo... („nie może żyć bez dwóch butelek dziennie"), zarzuca mu ojcowskie przywiązanie do syna („który w trzydziestym roku życia ma już trzecią żonę").

Nędzny parszywiec przeciwstawia Hauptmannowi... Tołstoja. I podaje Hauptmanna w pogardę Francuzom ten sam Kerr, który lata całe jak kundys podwórzcowy łasił się Hauptmannowi i nałaził go i grał rolę przyjaciela, powiernika, specjalisty od Hauptmanna i pysznił się i puszył się, że się z „Drogim Mistrzem" fotografuje... Judaszoska... krew... bacza... Nie! nie można wprost pisać.

A te Kretyny Swastykowate musiały dopaść akurat pomylonego, biednego *myszugge*... Teodora Lessinga.

Ano darmo... Może jednak jeszcze...

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Pewna żarliwa sanatorka, zapytana, jak się jej podobał pomnik Peowiaka na Placu Dąbrowskiego, rzekła:

— Zgorszona jestem!

— Z powodu: nieubrany?

— To owszem, owszem. Ale ten miecz! Przecież to miecz Chrobrego! Czy wy pewni jesteście tego Wittiga?

*

W sferach sanacyjnych powstała myśl nadania członkom Legjonu Młodych i Straży przedniej odznak w kształcie miecza. Odznaka różniłaby się tem od zakazanych mieczyków Obozu W. P., że byłby to miecz Bolesława Śmiałego.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.